
V
B
J
C
BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS

BIBLJOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY.

34-35.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

HUMORESKI SCENICZNE

ORYGINALNE

dla jednej i dwu osób grających.

I.

W obronie honoru. — List (monolog). — Amorek.—25 lat scenicznej pracy.— Podróż poślubna.—Po sąsiedzku (monolog). Pod kościołem. Pajace.

WARSZAWA. JAN FISZER.

Cena kop. 50.

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

34-35.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

HUMORESKI SCENICZNE

dla jednej i dwu osób grających.

I.

W obronie honoru. — List (monolog). — Amorek. — 25 lat scenicznej pracy. — Podróż poślubna. — Po sąsiedzku (monolog). — Pod kościołem. — Pajace.



Warszawa 1904 - Jan Fiszer.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Мая 1903 г.

Druk W. Cywińskiego, Nowy-Świat 36, w Warszawie.

W OBRONIE HONORU.

Humoreska w 1 odsłonie — przez Z. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Pan Acki.*
Pani Acka.
(Współcześnie).

(Elegancki salonik).

SCENA 1.

MĄŻ *(sam — przy drzwiach z lewej).*

Śpi jeszcze, albo udaje, że śpi... Jeżeli udaje, to się nie dziwię... ale jeżeli śpi naprawdę?... Ja na jej miejscu, po takiej awanturze, okabym nie mógł... Państwo zapewne już wiecie?... Nie?!... Na seryo nie?!... To dziwne. Coprawda — mamy 20 stopni mrozu, nowiny przy takim mrozie wolniej się rozchodzą... Przytem ja jeszcze wczoraj w nocy telefonowałem do wszystkich redakcyj, żeby w sprawozdaniach z balu zechciały przemilczeć... Ale to nie zapobiegnie wcale skandalowi, to go tylko trochę opóźni. Co za skandal!... Coś epokowego!... Jeden z tych skandali, dzięki

którym ludzie stają się sławni! — Moja żona pobiła się wczoraj z Becką na balu agronomów... Wachlarzami się baby wytego... Dwa anioły!... Myślałby kto, że paznogcie aniołów są organami szczątkowymi!... Aha!... Wczoraj przekonał się świat, że nie — bo co do mnie, wiem o tem prawie od dnia ślubu... Notabene: pobraliśmy się z miłości! O małom nawet nie wykradł mojej żony, tylkośmy się spóźnili na pociąg... Państwo!... zaklinam was!... nie żeńcie się nigdy z miłości!... Im gorętsza miłość rzuci wam ukochaną w objęcia, tem boleśniej dadzą się wam później we znaki jej paznogcie... I żeby tylko paznogcie!... Bo te kobiety z temperamentem są okropne!... Kochają wściekle!... Ale kiedy je złość napadnie: szczotka nie szczotka! — spodek nie spodek! — żelazko do włosów, flakon z perfumami, lichtarz, wazon, półmisek!... wszystko dla nich dobre, co tylko da się wziąć w rękę i mężowi w głowę rzucić... W głowę! a jakże!... Takim właśnie okazem jest moja żonusia. Trzy lata temu chciała się o mnie truć— kolońską wodą, a trzy tygodnie temu nabiła mi takiego guza na głowie salaterką, że przez dziesięć dni musiałem cylinder nosić na bakier. A wczoraj na balu agronomicznym pobiła się z Becką.— Właśnie miał się zacząć kotylion, kiedy te dwie ni stąd, ni zowąd... *(giest bójki)* i zaraz obie — mdleć. Zrobiło się zamięszanie, mężczyźni rzucili się je skrapiać, rozpinać, cucić — damy: pocieszać — poprzypudrowywano ślady wachlarzów, zapakowano obie lwice, moją ze mną a tamtę z Beckim, do powozów — i wyobrażam sobie, jak się tam świetnie musieli bawić po naszym odjeździe, bo na samem odchodnem doleciał mnie z bufetu okrzyk: „Nie! takiej figury kotylionowej nie

widziałem, jak żyję!...“ Ani ja. Żałuję, żem ją zobaczył własnym kosztem. — I o co im poszło?... Słychać było w ciżbie jakieś dwuznaczniki o huzarze... Czyżby naprawdę ten jednoroczniak?... A no: będzie to teraz, będzie... Zaczną się wiersze w pismach humorystycznych... Kuplety w operetkach... uśmiechy, spojrzenia, szepty, gdzie się człowiek obróci... Najgorsze jednak to, co może być tu, za chwilę... Ona już wczoraj w powozie chciała dokończyć na mnie tej figury kotylionowej, ale nie miała czem, bo wachlarz poszedł jeszcze tam, w sali balowej, w kawałki — w domu zaś, kiedy ją próbowałem pocieszać, wyrzuciła mnie od siebie i drzwi zamknęła na klucz... Na nieszczęście futro moje tam zostało, więc nie mogę w żaden sposób z domu się ulotnić, bo na taki mróz!... w palcie!... Żeby to jako przez pokojówkę... *(ku drzwiom z lewej:)* Słyszę szelest... musiała się obudzić... *(Żona wchodzi z lewej).*

SCENA 2.

MĄŻ — ŻONA.

MĄŻ *(n. s.)* Co?!... Ubrana do wyjścia?!...

ŻONA *(w ubiorze na ślizgawkę, zajęta rękawiczkami).* A!.. Jesteś tutaj?...

MĄŻ *(n. s.)* Niestety!

ŻONA. To dobrze. Widząc, że nie dajesz żadnego znaku życia...

MĄŻ. Żeby cię nie budzić.

ŻONA. Co za delikatność!... *(kończy:)* bałam się, żeś się już zdążył wymknąć, a miałam z tobą do pomówienia...

MĄŻ *(n. s.)* Ojoj... *(gł. udając zdziwienie).* Cóż takiego?...

ŻONA. O wczorajszym balu naturalnie...

MĄŻ. Odłóżmy to na później, skoro się gdzieś wybierasz...

ŻONA. Nic pilnego. Tylko na ślizgawkę *(siada).*

MĄŻ. Zaraz z rana? Bez śniadania nawet!...

ŻONA. Herbata i ciastka są w bufecie.

MĄŻ. Ale na ślizgawkę!... między ludzi!... po wczorajszem!...

ŻONA. Właśnie!... Niech wszyscy odrazu zobaczą, że nie żałuję niczego i nie myślę się z niczem kryć. Tyle ja. Reszta należy do ciebie.

MĄŻ. Niby jaka reszta?

ŻONA. Wyzwanie Beckiego, rozumie się. Tego mogłeś się przecie sam domyśleć.

MĄŻ. W imię ojca i syna! Czyś oszalała kobieto?!... Poturbowała mu żonę i chce, żebym go jeszcze wyzywał!...

ŻONA *(wstając).* To, com zrobiła — zrobiłam w obronie honoru!

MĄŻ. Więc ta awantura balowa była w obronie honoru?!... W takim razie sprawa już załatwiona. Czegóż ty chcesz jeszcze?

ŻONA. Żebyś ty się w to wdał.

MĄŻ. A mnie to co obchodzi?.. Ja się w babskie sprawy nie mięszam.

ŻONA. Więc twoją żonę wolno znieważać pierwszej lepszej awanturnicy?!...

MĄŻ. Becka cię obraziła?

ŻONA. On nic nie wie!... Potrąciła mnie w oczach całej sali tak, że mało nie upadłam!...

MĄŻ. Pewno przypadkiem!

ŻONA. Miałam jej o to pytać?...

MĄŻ. Należało udać, że nie uważasz — a ty odrazu za wachlarz!

ŻONA. Przepraszam! Ona swój pierwsza podniosła.

MĄŻ. Może się chciała wachlować?!

ŻONA. Ciekawam, czy przyszłoby ci coś podobnego do głowy, gdyby na ciebie ktoś podniósł laskę?...

MĄŻ. Laską się ludzie nie wachlują... Zresztą na mnie nikt nigdy, z wyjątkiem ciebie jednej, nic nie podnosił...

ŻONA. Kto to może wiedzieć!

MĄŻ *(wyniośle)*. Eleonoro!

ŻONA. Nie pozuj! Czyż ja cię nie znam?...

MĄŻ. Do widzenia *(chce odejść)*.

ŻONA. Zostań.

MĄŻ *(z afektacyą)*. Zdaje mi się, żeśmy już sobie wszystko powiedzieli.

ŻONA. Nie powiedziałeś mi jeszcze, kiedy poślesz Beckiemu sekundantów.

MĄŻ. Daj mi też z tem, proszę cię, święty spokój!... Co ci zawinił ten biedny Becki?... Ona— pojmuję jeszcze... Ale czego chcesz od Beckiego?... skąd tutaj Becki?...

ŻONA. Więc ty nie czujesz, że wyście się obaj powinni bić?...

MĄŻ. Nie czuję.

ŻONA. I to jest mężczyzna.

MĄŻ. Co Becki temu winien, że ma narwaną babę?...

ŻONA. Na całym świecie mąż odpowiada za postępki swej żony.

MĄŻ. Bardzo głupie urządzenie. To też jeżeli mąż ma rozum, wyłamuje się z niego...

ŻONA. I zamiast sam wysłać świadków, czeka, aż to ten drugi uczyni i wyzwie go pierwszy...

MĄŻ. Becki mnie?!... *(wesoło z przekonaniem)*: To się po nim nie pokaże!

ŻONA. Zapominasz o niej! Becka ma posag— a on co?... figę!

MĄŻ. Więc cóż stąd?

ŻONA. Ona potrafi go zmusić, aby cię wyzwał.

MĄŻ *(wesoło)*. Nie stanę.

ŻONA. Stchórzysz?

MĄŻ. Bynajmniej! Wyperswaduję mu. Między nami oboma nic nie zaszło — po cóż się mamy bić?!... Ja go szanuję... lubię go nawet... Żałuję go!... On mnie pewno też... A że wy obie macie niecałkiem dobrze w głowie... Przeproszę go za ciebie i basta.

ŻONA. Zabraniam ci! Rozumiesz?

MĄŻ. Ciekawym, z jakiego tytułu?

ŻONA. W ten sposób nie załatwia się spraw honorowych!

MĄŻ. Tylko tak jak ty wczoraj?

ŻONA. Podły!... jak rzucę tą lampą!...

MĄŻ. No! no!... Lampy zdrożały!

ŻONA. A twój kredyt spadł!

MĄŻ. Przez twoje zbytki.

ŻONA. Wydaję tyle, ileś mi przed ślubem obiecał. Trzeba było nie blagować.

MĄŻ. Ja ci nic nie obiecywałem! Sama badałaś mnie o moje dochody przy śpiewie słowika. Wkładałaś mi cyfry w usta, udając naiwną trzpiotkę. Trudno mi przecież było mówić tej przymilającej się trzpiotce: „Nie, tyle nie mam!“ — Potakiwałem. Byłem zajęty czem innem: słowikiem, tobą... Byłem zakochany!...

ŻONA. Och!... twoje kochanie!...

MĄŻ. Jesteś pierwszą, która ma mi coś do zarzucenia w tym względzie.

ŻONA. Miałam, widać, zbyt wiele poprzedniczek, które cię — w tym względzie — chwaliły.

MĄŻ. Wiesz?!... Tak cynicznie — w dwa lata po ślubie — może do męża przemawiać tylko kobieta, która...

ŻONA. Która co?

MĄŻ. Która biła się poprzedniego dnia z drugą, publicznie, o błazenka, kompromitującego obie!

ŻONA. Ty śmiesz mi coś podobnego...?!

MĄŻ. To nie ja! to *vox populi!* w bufecie!... Gdybyś ty była chociaż połowę tego słyszała, co ja tam wczoraj o tobie musiałem...

ŻONA. Kłamiesz!... Miałam po mojej stronie wszystkich obecnych. Połowa mężczyzn rzuciła się mnie cucić!

MĄŻ. Porachowałaś?... Dziwne zemdlenie!... Powinnabyś jednak w takim razie wiedzieć, że druga połowa rzuciła się cucić Becką. Dowód, że obie byłyście w równym stopniu pikantne. W istocie tak cienkich i obcisłych sukni i tak głęboko wydekoltowanych, jak wy dwie, żadna z kobiet na balu nie miała... To nawet rzuca pewne światło na waszą wzajemną drapieżność... Dwie lwice!...

ŻONA. Których mężowie nie są lwami — niestety!...

MĄŻ. Owszem, ale lwami o towarzyskim polorze, bez dzikich instynktów...

ŻONA. Jednem słowem: malowanymi lwami, tak dalece pozbawionymi lwich ambicyj, że trzeba aż przymusu...

MĄŻ. Przymusu?

ŻONA. Aby ich dowiedli z bronią w ręku!

MĄŻ. Do tego szaleństwa nie zmusi nas żadna siła!

ŻONA. Przekonam cię dziś jeszcze, że się mylisz.

MĄŻ. Ciekawym bardzo — jak?

ŻONA. W bardzo prosty sposób. Rozgłoszę, żeś posłał Beckiemu świadków.

MĄŻ. Taaak?... A ja — dziś jeszcze — zaprzeczę, rozgłaszając natomiast, że ty dostałaś bzika. To nas nawet wszystkich z kłopotu wybawi i zatrze niemiłe wrażenie awantury. Fiksatka!... —powiedzą ludzie; pierwszy atak miała na balu... biedny mąż!... — i przejdą nad tem do porządku dziennego. Pyszny projekt!... daję słowo. Jak to we dwoje zawsze się coś uradzi.

ŻONA. A ja ci mówię, że ty się będziesz bił!

MĄŻ. A ja cię zapewniam, że nie!

ŻONA. Zobaczysz!... *(wychodzi drzwiami z prawej)*.

MĄŻ. Zobaczysz!...

SCENA 3.

MĄŻ *(sam)*.

MĄŻ. Nie będę się bił! Ani myślę!... Ciekaw jestem, kto może mnie zmusić, żebym się bił?... No kto?... Nikt!... To doskonałe!... Po pierwsze pojedynki są zakazane! — po drugie to idyotyzm i barbarzyństwo! — po trzecie: Becki mnie przecież nie wyzwie! — więc... Chybaby wyzwał?!... E, nie, nie. Skądże. Becki?!... Ten poczciwy! sympatyczny! bez żółci i nerwów Becki?!... Nie! to niemożliwe!... Żeby go żona nie wiem jak wzięła w obroty, to i tak... Wprawdzie ona ma na niego

przez swój posag rzeczywiście dużo wpływu... Hm... to daje cokolwiek do myślenia... A nuż Becka zechce... Kobieta! kiedy jej coś zajedzie do głowy!... — Ale nie! nie!... Co znowu!... Przecież Becki zdobędzie się na tyle energii... Pojedynek!!... Jest zresztą na to rada! Przeproszę go z góry za wybryk mojej żony i historya skończona!... Przeproszę go dziś jeszcze! Dziś popołudniu. Albo po co zwlekać? Pójdę do niego zaraz... Lecz... gdybym go nie zastał?... albo gdyby, nakręcony przez żonę, przyjął mnie afrontem?... Najlepiej będzie napisać! — i to natychmiast! *(siada przy biurku)*. „Panie!“ To za zimno. „Łaskawy panie...“ to trochę protekcyjnie... Więc: „Szanowny“ *(pisze)*. Tak: „Szanowny — i kochany panie!... *(pisząc:)* Nadzwyczaj przykro dotknięty wczorajszym atakiem nerwowym mojej żony, pospieszam Szanownego i Kochanego Pana za ów epizod przeprosić, łącząc przy tej okazyi etc. etc. — sługa...„ — albo: — „uniżony sługa...“ — najlepiej: — „najniższy sługa— Acki.“ — Tak! im cieplej, tem lepiej. To chwyta za serce. Zaskoczę go! *(adresuje, zakleja)*. Joasiu!... *(idzie ku drzwiom z prawej i uchyliwszy je:)* Daj ten list Franciszkowi, żeby natychmiast odniósł według adresu. A co tam jeszcze? Jest list do mnie?... Dawaj... No idź... Niech się Franciszek spieszy!... *(odchodzi od drzwi—wraca)*. Czekaj!... Daj mu najlepiej na dorożkę, bo to ogromnie pilne!... *(odchodząc od drzwi:)* Od kogo to może być?... *(otwiera list)* Becki!... *(z przestrachem:)* Dla Boga!... Więc się spóźniłem!... Uprzedza mnie zapewne o wysłaniu świadków!... *(czyta zaniepokojony)* „Szanowny i Kochany Panie... *(dalej mruczy—nagle:)* Co?... Ha!... ha!... ha!... To wyborne!... Ha! ha! ha!... Poczciwy Becki!... *(czyta:)* „Szanowny i Ko-

chany Panie!... Boleśnie dotknięty wczorajszym atakiem nerwów mej żony, spieszę Szan. Pana za to, co skutkiem tego zaszło, najserdeczniej przeprosić i łączę etc. etc. — Becki". — Oto, co znaczy nie zawieść się na człowieku!... Prawie słowo w słowo mój list!... Jedna myśl! Jedna dusza w nas obu!... Już to my, mężczyźni, niedarmo mamy mózgi o 5 gramów cięższe od kobiecych!... Muszę mu zaraz... *(zwraca się do biurka)*. Ale prawda!.. Powinienby mieć telefon... *(idzie do telefonu, po za drzwiami z lewej i biorąc wiszącą na taśmie listę abonentów, czyta:)* A—B, Becki, Becki, Bec... Jest! Nr. 514... *(dzwoni)* Halo!... *(dzwoni, odzew)* Halo!... Pan Becki?... Tu — Acki!... Witam kochanego pana!... Przed chwilką właśnie wysłałem do pana list w sprawie tego... Aha... tego wczorajszego kotyliona — wtem odbieram pański! Jesteśmy obaj jednej myśli!... Nie uwierzy pan, jak mnie to cieszy, bo mojej żonie, wyobraź pan sobie, ubrdało się, że... Co?!... A więc i pańskiej też?! Nie!... te kobiety!... Ależ naturalnie!!... Co za sens narażać życie i zadzierać z kodeksem dla...! Śmieszny i dziki zabytek średniowieczny!... Co pan powiada?... W oczach świata?... No tak! zapewne!... To też gdyby mnie pan był wyzwał, rozumie się!... jako człowiek honoru stanąłbym bez namysłu! Pan tak samo?... Naturalnie. Honorowi ludzie... Honor jest zawsze honorem — to nie ma gadania!... Cóż jest nad honor?!... Jak?!... Bijmy się?!... Jakto: bijmy się?!... Aha! aha!... Dla oka?... Zna pan sekundantów, którzy urządzają takie pojedynki bez rozlewu krwi?... Ależ to doskonale... Gdybym był wiedział, że są tacy... Tylko czy wszelkie niebezpieczeństwo jest naprawdę wykluczone?... Brawo!... Więc bijmy się!... Ale już lepiej na pistolety, od-

powiednio nabite... tak, tak!... bo ostatecznie pałaszami możnaby sobie przypadkiem coś zrobić... Zgoda!... Równocześnie sekundantów!... Na wszystko zgoda!... Do widzenia!... Bardzo się cieszę!!... *(dzwoni — odchodząc:)* Doskonale!... Będziemy się bić, skoro świat tego wymaga, ale będziem się bić rozsądnie... Co to za sprytny człowiek ten Becki!... A jaki miły!!... Nie! ja z nim muszę... *(idzie ochoczo do telefonu, dzwoni).* Halo!... Proszę o nr. 514 *(dzwoni).* Halo... Pan Becki?... Acki.— Panie... *(do siebie, szukając w liście abon.)* Jak jemu u dyabła na imię?... Gustaw!... *(do telefonu.)* Panie Gustawie... *(ciepło:)* Ja mam dla pana tyle sympatyi... nawet więcej niż sympatyi!... Znamy się tak dawno... nawet więcej niż dawno... Czy nie moglibyśmy się tak odtąd: tykać?!... Co?... I owszem — ale dopiero po walce?!... A tak, tak... To będzie nawet efektowniej: podanie rąk do zgody — uścisk — etc. Moje uszanowanie!... *(dzwoni — odchodząc:)* Bardzo sprytny!... A przytem jaki miły!... Nie wiedziałem wcale dotychczas, że ten Becki jest taki miły!... Jak to po męsku brzmi: „po walce!...“ Co? Bądź co bądź to jest... moment!... Dwu ludzi — naprzeciw siebie — z bronią w ręku — na śmierć i życie!... Raz, dwa, trzy — rrym!!... To jest moment.... Daję słowo, uściskałbym za ten pomysł Beckiego!... A gdyby mu tak zaproponować... *(dzwoni do telef.)* Halo!... Proszę o nr. 514 *(dzwoni).* Halo!... Pan Becki?!... Acki. *(z przesadną serdecznością).* Kochany panie... yy... *(szuka w liście)* Gustaw... prawda, Gustaw... *(do telef.)* Kochany panie Gustawie!... A gdybyśmy się tak zeszli gdzieś za chwilę na śniadanko?... Byłoby mi doprawdy bardzo... Tak mnie do pana coś... Co?... Aż po walce?... Prawda, prawda...

mógłby kto jeszcze zobaczyć... Moje uszanowanie!... *(dzwoni — odchodząc od telef.)* Urządzimy sobie bibkę po „walce“... Co to będzie za efekt!... Chciała Ela mieć lwa — będzie lew!... *(zacierając ręce.)* I honorowi stanie się zadość!... Zaraz! Mam ja tu gdzieś w biurku rewolwer... *(szuka.)* Wystrzeliłem z niego raz w życiu do wrony, na letniem mieszkaniu — ale chybiłem... Jest... Włożę jeden nabój... Ela wpadnie tu lada chwilę... Niech mnie zastanie z bronią w ręku... Niech widzi, że to na seryo!... Zaimprowizujmy tarczę... *(atramentem na arkuszu papieru.)* Gdzieby ją umocować?... O tu, na drzwiach... *(z lewej, dwoma stalówkami.)* A teraz... *(odstępuje na prawy róg sceny, podnosi rewolwer, odwraca głowę, zamyka oczy — strzał.)* Gdzie trafiłem?... Zdaje się, że w sufit... Na pierwszy raz to wcale nieźle...

SCENA 4.

MĄŻ — ŻONA *(wpada).*

ŻONA *(drzwiami z prawej, rzucając łyżwy.)* Co się tu dzieje?!... Co znaczy ten strzał?!...

MĄŻ *(w pozie.)* To znaczy, że stało się to, czego chciałaś: postanowiłem bić się z Beckim.

ŻONA. Byłam szalona!!... *(n. s.)* Asekuracya nie wypłaca premii w wypadkach śmierci wskutek pojedynku!... *(gł.)* Henryku! On cię może zranić!... Zabić!...

MĄŻ *(mężnie.)* Albo ja jego. Ryzyko jednakie.

ŻONA. Ale ja nie chcę, żebyś ty życie swoje dla mnie stawiał na kartę!... Ja cię błagam!...

MĄŻ. Za późno!... Wyzwałem już Beckiego!

ŻONA *(zdziwiona.)* Już wyzwałeś?!... Nie wychodziłeś przecie.

MĄŻ. Wyzwałem go — przez telefon.

ŻONA. Przez telefon?!... (*n. s.*) Wyzwanie przez telefon... Muszę ja wybadać Joasię...

MĄŻ (*n. s.*) Czy tylko Joasia czego nie słyszała?!... Trzeba jej będzie dać na... trzewiki.

(*Kurtyna*).

LIST.

Monolog — Z. Niedźwieckiego.

(*Młody człowiek w kapeluszu na głowie, z postawionym kołnierzem u zarzutki jasnej, silnie skropionej deszczem na rękawach, połach i plecach, z parasolem, ociekającym wodą, w ręku; w kaloszach i z spodniami zawiniętemi wysoko, wchodzi głębią do kawalerskiego pokoiku, w którym ciemno — zamknięte drzwi z prawej, parawan zasłaniający domniemane łóżko z lewej—na prawo stolik, pełen gratów, świeca w lichtarzu. Scena niema. Wszedłszy w niedbałej pozie znużenia, stawia parasol, rozpiąwszy go w kącie. Nie zdejmując kapelusza, wyciąga z kieszeni zapałki i zapala świecę. Kicha — świeca gaśnie. Zapala ją powtórnie—kicha w bok. Zdejmuje zarzutkę—rozwiesza ją szeroko na parawanie. Zdejmuje surdut—kicha. Zdejmuje kamizelkę — kicha dwa razy*). Dyabli nadali, czy co?!... (*Zdejmuje kalosz — ogląda — znacząco:*) Ahaa!... (*rzuca go w kąt niedbale—ogląda drugi.*) Ho! ho! ho!... (*rzuca go również, kicha. Zdejmuje buciki, kicha. Obejrzawszy jeden bucik do świecy—znacząco:*) Baa!... (*Rzuca kamasze w ślad za kaloszami i zrobiwszy desperacki ruch ręką, ki-*

chając coraz siarczyściej, wyciąga chustkę, wyciera nos, rozgląda się po pokoju niedbale — podchodzi ku drzwiom z prawej, przykłada oko, potem ucho do dziurki od klucza, poczem robiąc minę znaczącą, że nic nie widać, już, już ma kichnąć, wtem dłonią czemprędzej zatyka usta i tłumi kichnięcie, odsuwając się od drzwi trwożliwie. Spogląda na zegarek, — robi giest, znaczący, że trzebu już chyba iść spać. Gasi więc świecę i idzie ku parawanowi po ciemku. Nagle staje w pół drogi, zaczyna szukać w kieszeniach spodni i mruczy sennie, zasapany:) Zapalmy sobie jeszcze jednego... do poduszki... (*Kicha — wraca rozejrzeć się po stole, po ciemku, pomrukując pod nosem:*) Ciemno, nic nie widać... U panny Koci też ciemno... Panna Kocia już pod kołderką... Zamknęła ślepki i śni się jej, że ją całuję... Że ją strasznie całuję... Smacznego!... (*kicha*) panno Kociu!... Tyle szczęścia, co człek prześni!... kiedy się ma taką srogą mamę jak panna Kocia, choć z drugiej strony tak bez granic oddanego jak ja sąsiada... (*z westchn.*) E! żal pomyśleć, jak Pana Boga kocham. (*kicha*) A to katar!... bodaj go jasne pioruny... Ale gdzież jest u licha moja papierośnica?!... Prawda!... Pewno w zarzutce... (*sięga do lewej kieszeni zarzutki na parawanie.*) Jest!... (*idzie do stołu, zapala świecę, chce od niej zapalić papierosa, kicha, gasi ją.*) Kiż dyabli z tem kichaniem!... (*wyciąga chustkę, wyciera nos, potem zapala świecę i papierosa.*) Wezmę zapałki (*potrząsa pudełkiem, czy ich wiele*) na wypadek, gdyby człowiekowi w nocy przyszła ślinka na mały dymek... (*gasi świecę, idzie za parawan, gdzie z papierosem w zębach nuci Galla „Dziewczę ustek koralowych...“, rozbierając się przytem za parawanem, na znak czego na tle jasnej zarzutki ukazują się*

po kolei: krawat czerwony — kołnierzyk — błękitne szelki—czarne spodnie, co wszystko grający, dla uniknięcia rozbierania się, powinien mieć za parawanem przygotowane w duplikatach, zupełnie podobnych do tego, co ma na sobie.) (*Za parawanem:*) Nie mam gdzie położyć papierośnicy... Pod poduszką mi się papierosy pokruszą... Włożę do zarzutki. (*Wystawia obnażoną po łokieć z rękawka koszuli rękę z po za parawanu i — wkładając papierośnicę do prawej kieszeni zarzutki:*) A tam co?... Jakiś list?... Skadże znów list?... (*wyjmuje list i cofa rękę za parawan.*) Ach! dalibóg... to ten list... Czy licho nadało?... To ten list, który znalazłem na ulicy, pod latarnią... Należało go rzucić do skrzynki... Cudzy list!... Obowiązkowa przysługa dla Iksa, co go zgubił... Schowałem go w kieszeń przed deszczem i nim się skrzynka nawinęła, zapomniałem na śmierć... Dyabli nadali... Cały wieczór łazić z cudzym listem w kieszeni... Sprawa może pilna?... Gdyby tak coś podobnego mój list spotkało?... Tylko że to człowiek już sobie trochę wygrzał łóżko... a tam w kaloszach dziury, w bucie też... zarzutka nawskróś przemoczona, na dworze deszcz, błoto... (*po pauzie—z energią:*) Nie! precz z lenistwem!... Obowiązek ponadwszystko!... (*wśród tego spodnie, szelki, krawat, kołnierzyk znikają w odwrotnym porządku z zarzutki na parawanie — od czasu do czasu kichnięcie. Z zapaloną zapałką wychodzi z za parawanu.*) O!... „Szanowna Redakcya „TRĄBY“ — pilne!... Jest rzeczywiście „pilne“?... Jest!... No więc. I marka też! (*zapala świecę, ubierając się całkowicie, do wyjścia.*) Co to szkodzi oddać tę drobną a kto wie, jak ważną, usługę, nieznajomemu?!... Do redakcyj dzienników o byle czem się nie pisze, tyl-

ko w ważnych, ogół obchodzących sprawach, oddam więc przysługę nietylko jednostce, ale i ogółowi. Jeszcze kalosze... W jednym wprawdzie jest dziura — ale za to w drugim są dwie. (*wdziewa kalosze.*) Uhm, wyjmę sobie odrazu dla stróża, na bramę... (*szuka w kiesz.*) Cóż to?... nie miałbym wcale drobnych?... Rzeczywiście... ani jednego piątaka... A ten drągal tak impertynencko zatrzaskuje bramę, kiedy mu powiedzieć: „przypomnijcie mi jutro...“ Nie będę się przecie narażał na zajście z stróżem dla listu jakiegoś roztrzepańca, który... Miałem najlepsze chęci, samiście państwo widzieli, nie zważałem na deszcz, błoto, dziury w kaloszach... Nie pójdę! — (*rzuca list na stół.*) Do jutra mój kochanku! (*zrzuca j. w. zarzutkę, surdut, kamizelkę, obuwie.*) A niech twój autor nie gubi na drugi raz listów, na których sam pisze: „pilne!“ (*wchodzi za parawan, gdzie się rozbiera, zarzucając poszczególne części stroju, jak wyżej, na parawan — wśród tego:*) Co też tam może być w tym liście?... Redakcyom muszą ludzie komunikować ciekawe historye!... Doprawdy, że gdyby ten list był się dostał w jakieś mniej skrupulatne ręce — np. w ręce jakiejś kobietki — oho! bywaj zdrowa tajemnico listów!... jużby cię dawno pochłonęły jakieś łakome cudzych sekretów ślepki. Na szczęście nie jestem wcale wściubski. Z wyjątkiem dziurki od klucza, przez którą można czasem zobaczyć pannę Kocię przy toalecie, co mi się słusznie należy, bo i ona mnie tą samą drogą nieraz kontroluję w najmniej spodziewanych chwilach—nie wciskam się nigdy przemocą w niczyje skrytości, a zagadkę, zawartą w liście do „TRĄBY“ potrąciłem tylko tak, mimochodem, ze stanowiska człowieka myślącego. Bądź co bądź każdy

list jest rodzajem sfinksa, zagadką, której treść rozstrzyga o ludziach i rzeczach, której słowa mogą przeszkodzić zbrodni albo szaleństwu, zapobiedz nieszczęściu... ocalić od hańby... Jutro już byłoby za późno! a dziś jeszcze możnaby... Źlem zrobił. Trzeba jednak było pójść z listem do skrzynki... Już byłem ubrany... Jużbym był nawet z powrotem... Wstać czy nie wstać?... Tak mi się nie chce... W liście może być zwykły inserat... Hola mój chłopczyku!... Jesteś na złej drodze!... Kręcisz!... (*Spodnie znikają z parawanu—potem reszta rzeczy.*) Ubierajmy się!... trzeba list wrzucić, nie ma co. Choćby zawierał anons panny, chcącej wyjść za mąż albo utracyusza, szukającego pożyczki na piętnastą hipotekę — nie powinien znajdować się u mnie, tylko na poczcie. Cóż dopiero, jeżeli ma komuś łzy otrzeć albo... Chodźmy!... Chodźmy do skrzynki!... (*wyszedł z za parawanu — ubiera się na gwałt.*) Prawda! Kalosze!... Masz!... teraz znów chciałem ubrać oba na jedną nogę... (*spieszy ku drzwiom, dopinając sukien — otwiera drzwi — nagle staje, zamyśla się—wraca, stanowczo:*) Nie! Stanowczo nie!... (*zaczyna się rozbierać.*) Dlaczego?... Dlatego, że nie pomyślałem wcale o drugiej stronie medalu!... Toż ten list może być paszkwilem, oszczerstwem, potwarzą, na czyjąś zgubę wymierzoną!... ...Do redakcyi!... Cóż z tego!... Czyż śmiertelni wrogowie nie babrzą się wzajemnie po dziennikach?... Po co ja mam nieznajomemu autorowi listu kto wie w jakiej sprawie tak skwapliwie podawać rękę?! i to nie mając drobnych dla stróża, a za to mając dziury w kaloszach i (*kicha*) katar, że nie trzeba lepszego (*kicha*) w nosie... (*już tylko w spodniach, szelkach, kołnierzyku i krawacie, jak wyżej, idzie za parawan — gdzie taka*

jak poprzednio akcya z rozbieraniem, wśród której mówi:) Kładę się spać! — i niech się tam co chce dzieje z powodu niedojścia na czas „pilnego“ listu do redakcyi „TRĄBY“—zawijam się w kołdrę po sam nos — i o ile nie będę kichał (*kicha*) — chrapię!!... (*z zadowol.*) Taak... Bliższa koszula ciała, niż... Panna Kocia, moja sąsiadeczka, już śpi, jej mama, mój ciężki wróg, także, już śpi, więc i mnie się należy trochę spoczynku (*nuci.*) „Dziewczę! z buzią jak mali...“ (*nagle.*) Aj do dyabła!... O tem jednem nie pomyślałem! a to przecie nie bagatela!... Bynajmniej!... Prędko! prędzej!.. Ubierajmy się co żywo!... (*rzeczy szybko znikają z parawanu.*) I do skrzynki bez straty czasu!... List musi odejść dziś jeszcze, bez minuty spóźnienia... (*wyskakuje z za parawanu, ubiera się z największym pośpiechem.*) Toż mnie mógł ktoś widzieć, jak list podnosiłem... sam jego właściciel!... Jeżeli zaś list nie dojdzie, lub choćby spóźni się tylko... Znaleźć się pod zarzutem przywłaszczenia cudzego listu!... Nie chcę!... Za nic w świecie!!... Kalosze?... Pal dyabli kalosze!... Stróż?... Pal dyabli stróża!... Byle się pozbyć tego przeklętego listu!... Byle do skrzynki!... (*pędzi do drzwi, otwiera je gwałtownie, jedną nogą za progiem już — staje nagle i uroczyście:*) Dobrze!... ja spełnię to poświęcenie... spełnię pomimo stróża... pomimo dziury w bucie— lecz muszę wpierw wiedzieć, co list zawiera... Bo jeżeliby coś złego?!... (*idzie do stołu—zapala świecę.*) Zaraz... jak to właścicielka pensyonatu otwierała przychodzące do nas listy od rodziców?... Zwilżała sklejenie zlekka, a potem podważała cienką obsadką od pióra... O tak!... (*czyni — dobywa list z koperty.*) Jest!... jest więc to straszne pismo!... Czytajmy!!... (*czyta—wybucha śmiechem niewstrzy-*

manym.) Ha, ha, ha!... Ha, ha, ha!... Ten list... ten list do redakcyi „TRĄBY“—jest—na mnie!... Słuchajcie państwo: „Szanowna Redakcyo!... Proszę uprzejmie, niech Panowie będą łaskawi przestrzedz obywateli, żeby nie brali na kawalerskie mieszkania akademików, bo ci zaglądają na panny przez dziurkę od klucza, podsuwają popod drzwi liściki, przyjmują u siebie co chwila to inne kuzynki i w ogóle są zgorszeniem dla całej kamienicy, a co najgorsze, że czynszu nie płacą. Tak robią wszystkie akademiki a głównie jeden prawnik na drugiem piętrze pod Nrem 10-tym przy Majowej ulicy — z szacunkiem: stała czytelniczka“. Ten prawnik na drugiem piętrze — to ja!... a z tych surowych sądów o wszystkich akademikach a głównie o mnie, któżby natychmiast nie odgadł mamy panny Koci. (*ku drzwiom z prawej*). O Kociu!... (*zaglądając w nie*). Ależ tam się świeci!... Na honor.. (*szeptem.*) Panno Kociu?! Przepraszam panią... to pani nie śpi?!... Co!... zbudziła się pani, ponieważ od dwu godzin hałasuję?... Ależ przeciwnie, to ja od dwu godzin — jak codzień zresztą — nie mogę zasnąć, ponieważ... ponieważ pani jest tak blisko... Co?... Kłamię?!... Widziała pani jak się trzy razy raz po raz rozbierałem i ubierałem?!.. (*n. s.*) Masz tobie! gotowa jeszcze pomyśleć, żem dostał bzika... (*gł.*) Jakto?... Więc pani mnie podgląda?!... Aa!... bardzo ładnie... To ja tu przechodzę jednę z najcięższych prób w życiu z powodu pewnego listu, który jest nawet w związku z osobą pani a wymierzony był na mą zgubę, pani zaś tymczasem... Co za list?!... List, który z przyczyny pani godzi we mnie... (*słucha.*) O! nie, mogę go pani tylko osobiście pokazać i tylko pod warunkiem, że mi pani nareszcie raz powie, o jakiej

porze bywa pani w domu... sama... Co?... Codzień zrana, kiedy mama idzie na targ?... Więc przeczytam go pani jutro rano, aby się pani dowiedziała, ile ja dla pani cierpię... Słowo? Dobranoc!... Przyjemnych snów panno Kociu... tych najprzyjemniejszych... Idę!... Idę już i ja spać... Dobranoc!... —(*odchodząc od drzwi*). Więc jutro... Jutro z rana!... Teraz dopiero nie będę mógł ani rusz zasnąć!...

AMOREK.

Fraszka w 1 odsłonie — Z. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Pan X.*
Pan Y.

Współcześnie, w wielkiem mieście.

Pokój hotelowy.

SCENA 1.

PAN X. (*sam*).

X. (*w futrze, we fraku, klak na głowie, w drzwiach tylnych, z świecą w ręku mówi po za nie:*) Spać mi się chce! Dajcie mi święty pokój!... Jutro się zamelduję i jutro zapłacę... Cóż do stu tysięcy dyabłów!... W pierwszorzędnym hotelu traktujecie gości jak w lesie?... Przecież nie ucieknę!... W ostateczności proszę mnie zamknąć na kłódkę—teraz chcę spać i basta!... (*zamyka drzwi na klucz.*) Zresztą nazywam się... (*n. s.*) Powiem inne nazwisko... (*gł.*) Nazywam się Gu... Gustaw Miętosiński... tak, Miętosiński... obywatel... Dobranoc. (*odchodząc od drzwi*). Nie mogłem powiedzieć prawdziwego nazwiska na wypadek, gdyby mnie

ten szaleniec z reduty widział wchodzącym do hotelu i aż tutaj chciał ścigać. Niechby się żona o tem wszystkiem jakąkolwiek drogą dowiedziała!... Chryste Panie!!... Tego by tylko jeszcze brakowało, żebym się narażał na gniew mojej kobietki głupiem zajściem na reducie o maskę, której wprawdzie fundowałem w gabinecie i którą wycałowałem siarczyście, więcej po masce niż po twarzy, ale która w gruncie rzeczy... (*krzywi się*) doprawdy, w gruncie rzeczy... (*giest niesmaku— zdejmuje futro*). U! fe!... Te wielkomiejskie awanturki karnawałowe ładniej pachną zdaleka niż zblizka. Gdybym to był przewidział — zamiast wymykać się z hotelu po złodziejsku od mojej śpiącej babusi, byłbym i ja odespał porządnie tę noc po naszych dwu balach i byłbym wrócił spokojnie razem z nią na wieś, nie obciążywszy sumienia nawet i tą nieudałą próbą grzechu... Nie! dyabeł mnie skusił na redutę!... I ot mam teraz!... Straciłem z 50 reńskich... całowałem Bóg wie co za koczkodana... Nie chciała do ostatka zdjąć maski! Pewno koczkodan!... Chociaż szyjka, bródka, biust, głosik, ucho... wcale... A w końcu ta awantura z zamaskowanym rywalem... Szczęście, że i ja byłem w masce. Zacząłem już myśleć, że to waryat!... Leciał przecież za mną z teatru, grożąc mi moim własnym kaloszem!... Bo na dobitek zgubiłem po drodze kalosz... Jeżeliby zechciał użyć tego *corpus delicti* do wyśledzenia mnie?.. Chociaż co może temu szaleńcowi na tem zależeć?!... A no spać! spać!... Żeby się tam tylko moja Lola nie zlękła, spostrzegłszy, że jest sama i do tego na klucz zamknięta. (*zmierza do łóżka*).

SCENA 2.

PAN X. — (*później*) PAN Y.

(*Daje się słyszeć pukanie w drzwi*).

X. Zdaje mi się, że ktoś puka... (*ponowne pukanie.*) A co tam? (*Głos Y. za drzwiami:*)

Y. Proszę otworzyć!...

X. Cóż tam nowego?... Śpię już. Proszę przyjść jutro rano. Czyż nie mówiłem portyerowi?

Y. Jutro będzie za późno! Odjeżdżam dziś jeszcze!

X. Szczęśliwej podróży!

Y. Za pozwoleniem!... Musimy się wpierw z sobą rozmówić!

X. Rozmówić? O północy? Obcy ludzie... Czego pan chcesz?

Y. Przedewszystkiem odnoszę panu pański kalosz.

X. Dziękuję. (*n. s.*) To on! (*gł.*) Wzruszająca rzetelność.

Y. Nie tak bardzo, jeżeli się zważy rozmiary pańskich nóg.

X. Jestem z nich zupełnie zadowolony.

Y. Nie pozostaje panu nic innego. Zresztą, oddały panu dziś nielada przysługę. Zmykałeś pan na nich jak zając.

X. (*n. s.*) Spróbuję w nim obudzić ambicyę. (*gł.*) Zmykałem istotnie przed jakimś waryatem, który wyraźnie szukał ze mną zaczepki. Ale ucieczka przed waryatem nie hańbi. Od waryatów są szpitalni posługacze i budy ratunkowe.

Y. Tym waryatem ja byłem!

X. Bardzo mi przyjemnie. (*n. s.*) Zawiodłem się. Nie ma bestya ani za grosz ambicyi. Szczęście, że drzwi zamknięte na dwa spusty.

Y. Nie mam jednak bzika, zapewniam pana.

X. Tak mówi każdy waryat.

Y. Tak samo mają prawo mówić i nie waryaci. Zresztą skoro się pan dowiesz, co mnie tu sprowadza...

X. Nie ciekawym.

Y. Tu nie idzie o drobnostkę!

X. Phi!... Może ta maska z reduty?... ten podejrzany amorek?

Y. Właśnie.

X. Dziwie się, jak można brać podobne osóbki na seryo?

Y. A jednak spędziłeś pan z nią sam na sam w gabinecie...

X. Najwyżej dziesięć minut!...

Y. Siedm i pół!...

X. Za dużo!... Wierz mi pan—i to za dużo!!...

Y. Rozumie się! Dlatego też tutaj przyszedłem.

X. Aby mi nie dać spać!...

Y. Aby pana zapytać o adres i nazwisko?

X. Proszę o nie zapytać portyera!

Y. Już to uczyniłem. Ale pan mu podałeś nazwisko: Gustaw Miętosiński — tymczasem w kaloszu są cyfry, B. W. Albo jedno więc, lub drugie — kłamstwo!

X. (*n. s.*) Do dyabła! (*gł.*) Widocznie zamieniono mi na reducie kalosze. Ale jakiem prawem pan się w to mięszasz, jakiem prawem wtykasz pan nos w moje kalosze i rachujesz z zegarkiem w ręku czas, spędzany przezemnie z maskami...

Y. Przy szampanie! — Bo tą maską była... moja siostra!

X. Siostra?!... (*n. s.*) A tom wlazł w chryję!... (*gł.*) Panie...! doprawdy, bardzo mi przykro...! (*n. s.*)

Nie! tego się tak nie da załatwić, muszę go wpuścić... (*gł. otwierając.*) Proszę, wejdź pan!

Y. (*wchodząc — n. s.*) O to mi właśnie szło.

X. (*n. s.*) Teraz stanie się coś strasznego. (*gł.*) Niech pan siada.

Y. (*n. s.*) Nie wiem, czy wyglądam dosyć tragicznie?... Siądźmy tyłem do świecy. (*gł.*) Oto pański kalosz.

X. Dzięki, serdeczne dzięki... Prawdziwie dobroć pańska...

Y. (*n. s.*) Tej facetki wcale nie znam, podobała mi się jednak dyabelnie i chciałbym się, nim z żoną odjadę, bądź co bądź dowiedzieć o jej adresie... To się może czasem przydać, jak człowiek przyjedzie ze wsi na sprawunki do miasta...

X. (*zaniepokojony — n. s.*) Coś się zamyślił... Siostra!... Nie dajmy mu się rozindyczyć!... bo jeżeliby zaczął znowu tak jak tam na reducie... (*gł.*) Może pan pozwoli cygarko?...

Y. Bardzo dziękuję. Chociaż w podobnej chwili...

X. Prawda... Najmocniej przepraszam. (*n. s.*) Popełniłem niezręczność. (*chrząka zakłopot.*)

Y. (*n. s.*) Jeżeli się czemkolwiek zdradzę—nie dowiem się niczego — i za drzwi mnie wyrzuci.

X. (*n. s.*) Czemu on milczy?... Zaczynają mnie ciarki przechodzić. Stanę sobie za krzesłem na wszelki wypadek.

Y. (*n. s.*) Mam! (*gł.*) Panie!... Przed rokiem znikła mi z oczu. Gdzie mieszka — i pod jakiem nazwiskiem — ta nieszczęsna?

X. Nie mam o tem wszystkiem najmniejszego pojęcia... Cała nasza znajomość trwała owe siedm i pół minuty...

Y. (*n. s.*) Nie chce jej zdradzić hultaj!... (*gł.*)

Pan myślisz, że ja w to uwierzę?!... To są wykręty!!... Ja muszę wiedzieć całą prawdę...

X. Ależ zapewniam pana, że nie widziałem nawet jej twarzy bez maski...

Y. Jakto?... I tak się pan złapałeś na... na...

X. Na jej zgrabną figurkę, na biust, na szyjkę...

Y. (*zapominając się:*) Prawda, że ma apetycz... (*mitygując się:*) Te... to ją właśnie zgubiło... Więc pan obstajesz przy tem, że...?

X. Daję słowo, że nie znam jej zupełnie.

Y. (*n. s.*) Albo jej nie zna naprawdę, albo się tylko nie chce dać zaskoczyć... Szkoda!... A tak mi się podobała bestyjka... (*gł.*) Ha! kiedy tak...

X. (*n. s.*) Ojoj!... teraz się rzuci na mnie... Lepiej już było powiedzieć jakibądź adres i nazwisko...

Y. Kiedy tak — to ja się panu przyznam: (*poufnie, z uśmiechem przyjaciel.*) Ale nie będzie się pan gniewał?...

X. Nie...

Y. To nie moja siostra.

X. Nie?!...

Y. Nie! Tylko mi się ogromnie podobała, a sądząc, że pan ją znasz bliżej i że u pana uda mi się dowiedzieć o adresie...

X. Mój panie!!

Y. Bo, widzi pan, ja zaraz rano wracam z żoną na wieś...

X. Coś podobnego!!

Y. A że i pana także nie mam przyjemności znać, więc raz straciwszy z oczu pana i ją...

X. (*wzburzony:*) Żart trochę za gruby!...

Y. Postaw się pan w mojem położeniu!

X. Ścigać mnie z kaloszem w ręku!

Y. Chciałem go panu zwrócić!...

X. Napadać mnie aż tu, w hotelu!

Y. Czyż sam się pan nie złapałeś na jej biust, figurę, apetyczną szyjkę?!

X. Ale nie robiłem o nią nikomu skandalu!

Y. Boś pan z nią spędził siedm i pół minuty sam na sam! gdy tymczasem ja... Weź pan to wszystko pod rozwagę panie Miętosiński...

X. Nie nazywam się Miętosiński!

Y. Nie biorę panu tego za złe i przyrzekam nawet dochować sekretu, ale powiedz mi pan proszę: gdzie ona mieszka?

X. Dałem panu raz słowo, że nie wiem. Proszę mnie nie obrażać.

Y. Prawda, przepraszam. Szkoda. Żeby chociaż jaki znak...

X. Znak?!... Ajaj!... Czekaj no pan... (*sięga do kieszeni.*) Podjąłem z ziemi jej bransoletkę, ale w gorączce chwili na śmierć zapomniałem ją oddać... (*dobywa bransoletkę.*)

Y. Pokaż pan!... (*z okrzykiem:*) Co?!

X. Cóż?

Y. Panie!...

X. No?

Y. Ależ tak... Ten wzrost... Te ruchy... ta figura... Boże! Boże!!...

X. Niechże się dowiem!

Y. Panie!... To jest bransoletka mojej żony!...

X. Niepodobna!

Y. Oto napis i data wewnątrz!!...

X. Nieba!!...

Y. (*wzburzony.*) Tak jest, panie!!... Niebo niech się nad nami oboma zlituje, bo teraz zacznie się tutaj dramat!!...

X. (*n. s.*) Gwałtu! Zabije mnie!!... Co tu robić?!... (*gł.*) Panie!... Zwracam pańską uwagę, że

maskę tę pierwszy raz w życiu widziałem... Dałem panu na to słowo honoru... Gdybym ją zresztą znał już dawniej, musiałbym przecie, jako męża, znać i pana...

Y. (*tragicznie:*) To nic nie tłómaczy i nic nie zmienia!... Widzę przed sobą tylko jedno: ruinę mego szczęścia! — i pana: mego krzywdziciela!! (*idzie drzwi zamknąć.*)

X. Panie!... Ja nie wiem, jakie są pańskie zamiary... przypominam panu jednak, że ludzie honoru...

Y. Nie obawiaj się pan niczego: jestem nim! Odbędziemy poprostu pojedynek amerykański. Kto wyciągnie zapałkę bez łebka — poprzecina sobie żyły, zostawiwszy wpierw list, że uczynił to dobrowolnie.

X. (*dygocąc:*) Zapałkę bez łebka... Ja nie potrafię pióra utrzymać w palcach... Tak jestem zdenerwowany...

Y. Zostawię panu godzinę czasu do uspokojenia się. Skreśl pan także pokrótce swoją ostatnią wolę, musisz pan przecie mieć przy sobie portmonetkę, zegarek — rzeczy te nie powinny zostawać przy trupie na łasce i niełasce służby hotelowej...

X. (*z jękiem:*) Przy trupie!!... Człowieku!... Zastanów się!... O co panu idzie!... O siedmiominutową...

Y. Siedmio i pół...

X. O siedmio i pół minutową niewinną gawędkę!

Y. Przy szampanie! Szampan wyklucza niewinność!

X. Przeciwnie! Szampan ją gwarantuje. Mnie szampan podcina nogi!

Y. Widziałem to potem na ulicy!

X. Ale siedm i pół minuty! Cóż może się stać w przeciągu siedmiu i pół minut?!...

Y. Wszystko! Chińczyk powiada, że najcnotliwszej żonie wystarczy czas potrzebny do ugotowania jajka na miękko, aby zdradziła męża.

X. Chińczycy! Co oni tam wiedzą! To naród zacofany. My w Europie lepiej wiemy, ile na co potrzeba czasu.

Y. Czy możemy przystąpić do ciągnienia zapałek?...

X. Bez łebka... (*z rozpaczliwą stanowczością:*) Nie!... No nie!!... Co mi tam!... Ja mam żonę... mam a przynajmniej będę miał, muszę mieć dzieci— ja nie mogę dla jakiejś tam redutowej awanturki... Chcesz pan, to mnie zamorduj, będę się bronił, będę krzyczał gwałtu! — ale żebym miał dobrowolnie zdawać się na łaskę zapałki bez łebka.. (*ręce w kieszeniach — wydobywa chustkę.*) Aha... to chusteczka tego amorka... Oddałem panu bransoletkę pańskiej żony, masz pan i jej chustkę, i daj mi pan święty pokój... Pan jesteś Szekspirowski Otello a ja jestem spokojny galicyanin.

Y. (*odczytując monogram:*) L. W.?... To nie jest chusteczka mojej żony.

X. (*zaniepokoj.*) L. W.?... Ależ to znak mojej żony!... (*bierze chustkę.*) Tak jest!... poznaję tę chustkę!... to monogram mej żony!... Ten wzrost!... ta postawa!!... ruchy!!... Boże! To była moja żona!!!... Naturalnie!... Domyśliwszy się, że idę na redutę, wypożyczyła sobie na prędce kostyum i zaimprowizowała całą intryżkę i to sam na sam z własnym mężem.. Na domiar mistyfikacyi nie zdjęła maski... A! do stu tysięcy dyabłów!!... Więc pan mi tu będziesz urządzał sceny zazdrości o moją

własną żonę?!... o siedm i pół minuty najprzykładniejszego w świecie sam na sam?!..

Y. A bransoletka?

X. Co mi tam bransoletka!... Podniosłem ją z posadzki, mógł ją tam przedtem zgubić zupełnie kto inny, gdy tymczasem chustkę tę miała w ręku... I pan mi śmiesz o moją żonę!!...

Y. Przepraszam pana!

X. Nie przepraszaj pan!!... Pańskie awantury przechodzą wszelkie granice!... Pan mnie chciałeś złapać na zapałkę bez łebka!.. Zamknąłeś mnie w moim własnym pokoju!... Kazałeś mi pisać testament!... Wypytywałeś mnie o portmonetkę i zegarek!!... Wszystko pod pozorem sceny o pańską żonę, która w rzeczywistości okazała się moją żoną!... Kto wie, czy pan nie jesteś poprostu rabusiem, który się tutaj wślizgnął po to tylko... (*pukanie w drzwi*).

Y. Widzisz pan, robisz takie hałasy, aż się służba zleciała...

X. Wezwę ją na świadków pańskiej napaści!... (*idzie do drzwi.*) Co takiego?... (*słucha, nie rozumiejąc:*) Jaka dama?... Co za dama?... List... (*odbiera list — czyta:*) „Wielmożny Panie!“ — nieznane pismo — „ciężko zawiniłam, ale chcę mój postępek naprawić, byle mnie panowie tylko nie gubili... Chusteczkę żony W-go Pana i bransoletkę drugiej pani wzięłam tylko tak, na noc, na redutę, żeby rano nazad zwrócić — tymczasem Pan Bóg mnie skarał, że zgubiłam... Ale ja odkupię!... Przysięgam, że odkupię...“ — Co to ma znaczyć?!...

Y. Nie rozumiesz pan?!...

X. Nic a nic.

Y. Zobaczże pan podpis!

X. (*czyni.*) „Józia, numerowa w angielskim hotelu“. Ja właśnie w angielskim z żoną stoję!

Y. I ja też — a Józia, numerowa, wybierając się na redutę, aby nam obu głowy zawracać, zaopatrzyła się widocznie w niektóre drobiazgi...

X. Chusteczka... Bransoletka...

Y. U naszych żon!

X. Więc ten amorek to ani moja żona! ani pańska żona, tylko... (*do drzwi.*) Ktò ten list przyniósł?... (*wysłuchawszy—zwraca się do Y.*) Mówi, że jakaś dama w maskaradowem przebraniu, która płacze i...

Y. To ona! Nie można jej pozwolić płakać!!

X. Nie można!... (*do drzwi:*) Poproś tu tę panienkę... (*do Y.*) Musimy ją uspokoić...

Y. Tak... Niech nie płacze...

X. (*do drzwi:*) I przynieść tam z bufetu... co macie!... (*do Y.*) Musi biedaczka być głodna, zziębnięta...

Y. (*po łobuzowsku.*) Ej panie!... Pan jesteś łobuz!!...

X. A pan to niby nie?!...

Y. Dajmy sobie buzi!... Lubię takich!... (*całują się*).

X. Ale przed żonami ani mru! mru!...

Y. To się rozumie!... Żonom co do tego, że tam mąż otrze łzę jakiej płaczącej w kostyumie amorka.

(*Kurtyna*).

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT PRACY SCENICZNEJ.

Humoreska w 1 odsłonie — przez Zyg. Niedźwieckiego.

OSOBY:

REKLAMIŃSKI, *dyrektor teatru.*
MARYSIA, *jego sługa.*

Rzecz dzieje się za kulisami teatru w małem miasteczku.

(*Pusta scena z poodwracanemi dekoracyami, na środku dwa kufry, na jednym z nich siedzi Marysia, dyrektor chodzi po scenie dużemi krokami*).

REKLAMIŃSKI — MARYSIA.

R. (*duża fryzura, kapelusz na głowie, płaszcz z peleryną, parasol.*) Niewdzięczne społeczeństwo!

M. (*w chusteczce na głowie.*) Co to mięszać do tego wszystkiego społeczeństwo!...

R. Cicho bądź!... Ty się na tem nie rozumiesz!... Jesteś głupia koza, ktora mi nawet pękniętego kostyumu porządnie zeszyć nie potrafi,

żeby się na mnie nie rozpruł w najefektowniejszej scenie!

M. Bo ja nie czuję powołania do naprawy pękniętych kostyumów.

R. Tylko do czego?

M. Co tam panu będę mówić, kiedy pan już nie jest dyrektorem.

R. Jakto: nie jestem dyrektorem? — trajkotko jakaś! A czemże jestem?

M. Albo ja wiem?... Coś nieokreślonego!...

R. Cicho!... Ja ci tu dam, smarkulo!... Ja ci zaraz określę!... Widzicie ją!... Dyrektor jest zawsze dyrektorem, choćby nawet chwilowo i nie był dyrektorem, nie mając kim ani czem dyrygować. Jestem dyrektor na urlopie!

M. To już prędzej: zbankrutowany dyrektor.

R. Słuchaj-no! Co ty sobie pozwalasz?...

M. No może nie?!... Dekoracye co lepsze pan pozastawiał, garderobę panu zajęli, trupa się panu rozleciała na cztery wiatry — hi! hi! hi!... — i to w sam dzień pańskiego jubileuszu...

R. Niewdzięczni komedyanci!... W taki uroczysty dzień mego życia zostawiać mnie na...

M. Na piasku. Chociaż pan sobie wszystkiemu sam winien.

R. Brednie!...

M. A tak, tak. Aktorom pan nic nie płacił a sam pan hulał.

R. Każdy dyrektor tak robi.

M. Sam pan grał co najlepsze role i ubierał co najładniejsze kostyumy a inni to musieli ubierać łachy i grać co się zdarzy.

R. Od czegóż byłbym dyrektorem!

M. I nareszcie, jak im pan już porządnie nalał

sadła za skórę, chce pan jeszcze, żeby panu 25-letni jubileusz urządzili!...

R. Czy mi się może nie należy?

M. Skądże!... Kiedy pan ma wszystkiego dopiero 37 lat!

R. A no! A pierwszy afisz rozlepiałem mając lat 12!

M. To pan tak wcześnie zaczyna rachować?

R. A bo ja wcześnie zacząłem twardą pracę dla sztuki, bardzo wcześnie!... I dlatego miałbym nawet prawo każdy rok sobie rachować dubeltowo, jak na wojnie!

M. I w 37 roku życia — obchodzić 50-letni jubileusz!

R. Co najmniej!

M. Nie! wiecie państwo! z pana to naprawdę „amerykański dyrektor"! — jak mawiała zawsze pani dyrektorowa, kiedy jeszcze była dyrektorową.

R. Niech ją tam!... Niewdzięcznica!...

M. Że pana puściła w trąbę?... To pan powinien być kontent! Jedna gaża mniej. A taką drugą dyrektorowę to se pan każdej chwili znajdzie, nawet lepszą.

R. Pewnie, że sobie znajdę. Kandydatek na dyrektorowe zawsze jest huk. Gdybym rozpisał konkurs — to się ich zgłosi dwieście! Ale ja z niej zrobiłem artystkę!... Ja ją postawiłem na stanowisku!... Czem przedtem była?... Cygarnicą!... Marną zwijaczką papierosów w fabryce cygar. A ja ją w pół roku niespełna wykierowałem na pierwszorzędną artystkę w komedyi, dramacie, operetce, operze i balecie!!... Dałem jej chleb w rękę!

M. No, chleb jak chleb... Raz na dwa dni kromkę.

R. Teatr to nie restauracya tylko świątynia sztuki. Dałem jej sławę.

M. Jaką tam sławę!... Chyba u tych żydków, co im nie popłaciła za suknie i kapelusze.

R. Iii — głupia jesteś. Co ty się na tem rozumiesz! Co ty w ogóle możesz mieć tutaj do gadania — ty! marna subretka, czy pokojówka, czy sam nie wiem już co... Schowaj sobie swoje trzy grosze! Dlaczegoś ty właściwie za swoją panią nie poszła?...

M. Na co?... Na bryndzę?... Póki była dyrektorową, to mogłam u niej być, ale teraz, kiedy jest niczem, to ja się nie mogę poniżać do takiej kondycyi. Zresztą i tak, jeżeli się chwilowo do tego poniżyłam, żem była w obowiązku u dyrektora teatru, to tylko dlatego, żem miała swoje cele.

R. Jakie cele?

M. Co tam panu będę mówić, kiedy pan już nie jest dyrektorem, a właściwie jesteś dyrektorem na urlopie. Pogadamy o tem, kiedy pan wróci z urlopu. Ale zdaje mi się, że to tak prędko nie nastąpi.

R. (*w zadumie.*) I mnie się tak zdaje...

M. A widzi pan! Strasznie się pan zarżnął.

R. Oj zarżnąłem się, zarżnąłem, a właściwie oni mnie zarżnęli: aktorzy i społeczeństwo! Ludzi! Ludzi mi brakowało zawsze i dotąd mi ludzi brak!... Skarżył się na to zresztą już słynny poeta Temistokles, kiedy chodząc po starożytnym Rzymie z latarką, wołał: „Królestwo za człowieka!...“ Cóż można zrobić bez ludzi!

M. Możnaby ich mieć, żeby im się dawało jeść.

R. Jeść! jeść!... ciągle tylko jeść!! Ptaki nie sieją, nie orzą, a jedzą.

M. To też pan swoich aktorów zawsze chciałeś kierować na ptaszków.

R. Niewdzięczne komedyanty!... Społeczeństwo kamiennego serca!... Do godziny 7-dmej wieczór ani grosza w kasie — a o 7-ej mój spektakl jubileuszowy!... O pół do 8-ej trupa opuszcza mnie, odjeżdżając najbliższym pociągiem w świat — bodaj się ten pociąg wykoleił na najwyższym moście — a o 8-ej zostaję sam, jak palec, z dwoma najcięższemi wprawdzie kuframi, ale które dlatego są takie ciężkie, że w nie nakładłem kamieni — i z tą głupią pokojówką, resztką zagasłej wspaniałości.

M. Widzi pan?... Ja jedna zostałam panu wierna, choć mnie pan zawsze poszturgiwał.

R. To przecież nie było ze złości.

M. A ile razy pani dyrektorowa zauważyła, to potem za to dostawałam bicie.

R. Nie rób sobie nic z tego. Ja ciebie zawsze wolałem, niż ją — i gdyby nie to, że ona miała taki niezwykły talent do tragedyi, do fars i do baletu, jakiego ty nie posiadasz...

M. Otóż właśnie, widzi pan... Ale prawda. Co ja tam panu będę o tem mówić teraz, kiedy pan już nie jesteś dyrektorem.

R. Nie powtarzaj mi tego ciągle, jak papuga!... Chcesz mnie doprowadzić do jeszcze większej wściekłości?!...

M. Przecież mnie o co innego idzie...

R. No więc daj mi święty pokój!... Ja mało nie pęknę ze złości! Tak osiąść na lodzie! Pomijam już, że nie wiem, za co jutro będę jadł śniadanie — ale ten blamaż!... ten blamaż!!... Odwołanie spektaklu w sam dzień 25-letniego jubileuszu!... To się jeszcze nie zdarzyło żadnemu jubilatowi na całej kuli ziemskiej, odkąd aktorzy

i dyrektorzy ratują się jubileuszami od utonięcia!... Jubileuszowy blamaż.

M. Co tam blamaż!... Grunt śniadanie!

R. Prozaiczna istoto!... Na śniadanie mogę naciągnąć pierwszego lepszego głuptaska...

M. Tutaj?... W Zapadłowcu?...

R. No, tutaj już taki głupi się nie znajdzie, masz racyę. Tutaj teren jest już wyeksploatowany na długo. Ale o milkę, o pół milki stąd! I będzie śniadanie. Tymczasem blamaż!... Porachuj tylko: trzydzieści osób! cała moja trupa!... Trzydzieści gęb od ucha do ucha a w każdej język na dwa łokcie, jadowity język śmiertelnego wroga, przyczem kobiece języki rachować można za dwa a nawet trzy męskie... Wszystko to rozłazi się teraz po świecie — i obrabia mnie!... i suchej nitki na mnie nie zostawia!... i trąbi głosem trąb z pod Jeryho: — „Ludzie! słuchajcie, jak się ten łotr Reklamiński w Zapadłowcu zblamował!... Ogłosił swój 25-letni jubileusz — i nie przyszedł do teatru ani pies!... Ani — pies!...“ Wielki Boże!... Kiedy to sobie pomyślę — boję się, ażebym jutro nie wstał z łóżka — jeżeli w ogóle znajdzie się dla mnie tutaj dziś jakie łóżko — z głową białą jak śnieg od przedwczesnej siwizny!...

M. A mówiłam! powtarzałam od dwóch tygodni: wyjechać z Zapadłowca!

R. Wyjechać!,.. Żeby to było o czem!... Wyjechać czasem daleko trudniej niż zostać!... Jeszcze jak furman uwierzy, że mu się zapłaci za przyjazdem... Ale gdzie dziś już są tacy poczciwi furmani!

M. Nie ma już teraz takich głupich furmanów, nie!

R. A koleją to już nawet mowy nie ma!... Co

tu robić! co tu robić!... Oto dola artysty!... Aktor z moim talentem!... z moją sławą!... Aktor tak szeroko znany!... Zapytać się małego dziecka: czy wie, kto jest Reklamiński?... Wie!... Wszyscy wiedzą!... Wszyscy Reklamińskiego znają!... Młode, stare pokolenie! Kobiety! mężczyźni! inteligencya! lud!...

M. A cóż dopiero oberżyści!... restauratorzy!... właściciele sklepów!...

R. Jednem słowem: wszyscy!... A przecież nie przyszli na jubileusz!... A przecież za to, że przez 25 lat karmiłem ich dusze moją sztuką — pozwalają mi dzisiaj w opuszczeniu obchodzić moją rocznicę wobec dwóch próżnych kufrów i jednej głupiej dziewczyny!... Czy to nie musi boleć?... Czy to nie może łez wycisnąć z oczu?!... Pożycz no mi chustki...

M. (*łzawo:*) Ale niech mi dyrektor zaraz odda, bo i mnie się coś w oczach kręci...

R. (*n. s.*) Wzruszyłem ją do łez!... Tej gąsce nie brak serca. (*wyciera nos z hałasem — oddaje jej chustkę.*) Masz.

M. (*płacząc:*) Pan widać jest pechowiec.

R. Wszyscy genialni ludzie byli pechowcami. Cezar miał pech pod Rubikonem, Napoleon miał pech pod Waterloo, Reklamiński ma pech w Zapadłowcu. Tylko miernotom się wszystko wiedzie. Każdy geniusz ma swój Zapadłowiec, w którym go czeka klapa. A jednak powiedz sama, choć jesteś całkiem sobie zwyczajna głupia gąska, ale tak chłopskim rozumem, Maryś, powiedz: czy ja jestem kiepski aktor?!...

M. Cóż znowu!... Daleko nędzniejsze od pana grają i mają brawa!... Pan to jeszcze obleci!... bardzo obleci!...

R. Oślica jedna. — Ja jestem świetny aktor! — rozumiesz?!... Ja powinienem być na warszawskiej scenie!... I byłbym—gdyby nie intrygi aktorów! — I będę — jeżeli się dostanę!... „Obleci!...“ — Kto tak gra Grojseszyka — jak ja!... A Franciszka Moora?!... A majstra Szaruckiego?!... A Hamleta!... A „Icka zapieczętowanego“?!... A króla Lira?!... I ona mi mówi: „obleci!...“ Idyotka. — Będąc przez pół roku u mnie za pokojówkę, mogłaś też sobie była wyrobić do dziś dnia więcej smaku. Musisz być strasznie głupia!... Pokaż mi drugiego aktora polskiego o tak rozległym repertuarze!... A czym nie miewał braw? wieńców?!...

M. Ojoj!... i co to pana zawsze kosztowało!...

R. Czy mnie nie noszono na rękach? nie obrzucano kwiatami?

M. Owocami nawet...

R. Głupiaś. Te zgniłe jabłka nie odnosiły się do mnie, tylko do Tryndalskiej. Sam je rozdałem w ostatniej chwili między klakę, żeby nie mieli czasu zjeść... To też kiedy dziś sobie przypomnę te brawa, te wieńce — zapytuję sam siebie: „Mieczysławie Reklamiński — nie miałżeś prawa a nawet obowiązku dać swemu społeczeństwu okazyi, aby z uwagi na twój talent, działalność, zasługi, zapełniło ci salę i kasę, nawet w takim Zapadłowcu, bodaj w ten jeden twój uroczysty, jubileuszowy wieczór?...“ I muszę sobie odpowiedzieć — no powiedz sama, czy nie muszę?... — że miałem to prawo!... Tymczasem gdzie jest publiczność?... Nie ma jej!... Aktorzy także dali drapaka — i zostałem oto sam... sam!... jak Lir wśród burzy!... bez jednej istoty życzliwej!...

M. A ja?!...

R. E, co mi z ciebie. Ty mi się nawet poca-

łować nigdy nie dałaś... Reklamińskiemu nie dać się pocałować! Własna pokojówka!...

M. Nie chciałam pani dyrektorowej robić konkurencyi.

R. O dyrektora się dba, jeżeli się rozumie swój interes, wiesz? — nie o dyrektorowę, którą mogłem każdej chwili puścić w trąbę, no i którą też i puściłem.

M. Dyrektorowa przecież sama dała dęba.

R. Bo czuła, że ją wyleję zaraz po jubileuszu. Nawet ten spisek aktorów i ta ich zdrada — powiem ci — to też jej robota.

M. Tak pan myśli?...

R. Ja ją znam!... Ale niech ją tam licho!... Miałem jej już: póty!... Dwieście kandydatek na jej miejsce!...

M. Pewnie!... Żeby pan był jeszcze dyrektorem...

R. Oślico jakaś! — mówiłem ci raz, że nim ciągle jestem! Dyrektor na wozie czy pod wozem jest zawsze dyrektorem! do samej śmierci i po śmierci!... Pamiętaj to sobie. Zresztą ja się jeszcze podniosę... Ho! ho!... Reklamiński nie podda się tak łatwo... Ja sobie znajdę kapitalistów... Mogę zresztą wygrać... odziedziczyć... Czekam już ze trzy lata na jedną ciotkę, której już dawno powinno się było sprzykrzyć życie... Jak zgarnę po babie sto tysięcy!... to założę taką trupę, że niech się schowa Warszawa!... Ale idzie mi o dziś!... Co począć dziś!... Jestem bez grosza. Żeby mnie ludzie zdrowiuteńkiego nie byli widzieli w mieście parę godzin temu, położyłbym się do łóżka i zachorował śmiertelnie na parę dni... Możeby co od przyjaciół teatru kapło...

M. A jakby doktora przysłali.

R. Cóż ty myślisz, że ja już i doktorom gitary, jak mi było potrzeba, nie zawracałem?... Phi!... Reklamiński!... 25 lat pracy na scenie!... Takżeś frajerka!...

M. A jakby doktór powiedział, że panu taki nic nie brakuje?

R. Kto dzisiaj doktorom wierzy!... (*po chwili.*) Byłby jeszcze jeden sposób: powiesić się... No, nie naprawdę!... Tybyś narobiła zaraz krzyku i oderżnęła mnie... „Wieszał się!... z rozpaczy!... bo mu aktorzy spaskudzili jubileusz!...“ — na publiczności by to zrobiło z pewnością wrażenie... Sumienia by się ruszyły — składka — coś — i byłoby o czem wyjechać... Ale cóż! Na ten sam kawał, jak na złość, wziął miesiąc temu w Pypciowie publikę Bumbowicz... Wiesz — ten stary deklamator, co to nie ma ani jednego zęba, gada przez nos i trochę się zająkuje... Żona go oderżnęła, zrobiono składkę na desperata, aptekarz mu podarował białą kamizelkę i trzy syfony wody sodowej, sędzia parę kamaszów, oba z jednej nogi, burmistrz szapoklak i miarkę kartofli — kompletnie go wyekwipowali. Ale cóż!... pokłócili się oboje z żoną, baba przez złość rozgadała, że z tem wieszaniem to był kawał, poszło do gazet — i teraz na jakie dwa, trzy lata nie ma nawet mowy brać gdziekolwiek publikę na wieszanie z rozpaczy. To tak fuszery najlepszą rzecz muszą zmarnować. Żeby bestya Bumbowicz nie był partacz, to mógł z dziesięć miast objechać i w każdem się po cichu wieszać z niezgorszym zarobkiem. A tak co?... ani jemu ta sztuka więcej nic nie przyniesie, ani drudzy, choćby prawdziwie potrzebujący, nie mogą się ratować wieszaniem z kłopotów. No nie?...

M. Pewnie. Szkoda. Wielka szkoda, że pan się nie może powiesić. Toby rzeczywiście zrobiło kasę. Za samo oglądanie, jakby ludzie przyszli widzieć pana na sznurze, mogłabym zebrać ładny grosz.

R. Idź głupia!... tak długo nie można wisieć!... Ładniebyś mnie urządziła, żebym ci się oddał w opiekę!... Wiesz?... ty jesteś strasznie głupia!...

M. Mam ja swój rozum, niech się pan nie boi!... I żeby pan był dyrektorem...

R. To co?!...

M. Kiedy pan nie jest.

R. Słuchaj Maryśka!... Ty chcesz coś oberwać!!

M. Ja zupełnie czego innego chcę.

R. Czegóż naprzykład?

M. Kiedy pan już nie jest dyrektorem.

R. Macie!... Niech ci się zdaje, że jestem!

M. Jabym chciała... grać...

R. Zwaryowałaś!

M. Wcale nie! Cóż to pan sobie myśli?! Kiedy dyrektorowa miała talent do baletu i do tragedyi, to ja też mogę mieć. Cóż ja to jestem gorszego?! Żem nie kręciła papierosów?!... Obracałam się za to w pierwszych towarzystwach, byłam za młodszą u jednej baronowej, mogę grywać damy. A sam pan przecie mówił, jak pan był jeszcze dyrektorem, że dyrektorowa w damach jest pod psem.

R. Była pod psem, była, ani słowa.

M. A jabym nie była pod psem.

R. Ty?!...

M. Zobaczyłby pan!... Próbowałam w lustrze! Wszystkie role dyrektorowej grałam w domu w jej kostyumach, jakeście oboje byli w teatrze... I po-

wiem panu: niech się pańska dyrektorowa schowa z całem swojem graniem wobec mnie!

R. Ale fe!

M. Niech się schowa!... powiadam.

R. Wiesz? ty sobie nie żałujesz uznania!

M. Co sobie mam żałować!

R. To paradne!

M. A potem: moje warunki zewnętrzne!... (*robi przed nim obrót.*)

R. Ty masz warunki bardzo ładne, to fakt, dlategom cię właśnie zawsze to w policzek, to pod brodę...

M. E! pan ma co innego na myśli. Ja mówię o sztuce!

R. Prawda, mówmy o sztuce.

M. Zawsze pan mówił, że dyrektorowa ma twarz jak kartofel — nie mówił pan?

R. Ja to i teraz mogę powtórzyć: wykapany kartofel!

M. A widzi pan!... Mówił pan także nieraz, że ma figurę jak kiszka grochowa. Nie mówił pan?

R. Owszem. Będę to powtarzał do śmierci.

M. Mówił pan, że dyrektorowa chodzi jak kuternoga z odpustu...

R. Bo chodzi tak...

M. A czy ja mam twarz jak kartofel?... Figurę jak kiszka grochowa?... Czy chodzę jak kuternoga z odpustu...

R. Ale gdzież tam! Ty masz buzię jak obrazek, figurkę—daj mi Boże same takie, a chodzisz jak sarenka.

M. Więc któraż z nas ma lepsze warunki? — ja, czy ona?...

R. Tak, widzisz, ale ona miała talent!... Ona

się świetnie wydawała i w tragedyi i w komedyi i w bombie... Jak ona wyszła w Ofelii... Jak ona zagrała panią majstrową z Kleparza — świat się kończy!... Przypomnij sobie, jakie ona miewała brawa!...

M. Zapłacone. Takie to i ja mogę mieć.

R. Niby prawda... Więc ty się na seryo palisz do sceny?

M. Okropnie!... I nawet powiem panu otwarcie, że ten cały kawał z jubileuszem—to ja panu zrobiłam.

R. A to jak?!..

M. Powiedziałam dyrektorowej w sekrecie, że pan mnie namawia, żebym z panem dała dęba, jak pan pieniądze z spektaklu zabierze z kasy, bo pan już ma wyżej uszu i dyrektorowej i komedyantów.

R. Zbrodniarko!... Tyś się poważyła?!...

M. Poważyłam się. To przecież dla pańskiego szczęścia!... Widząc oddawna, że pan się we mnie kocha...

R. O ile pamiętam, to ci się ani razu nie oświadczałem...

M. Yy, dajże pan pokój. Miłość z oświadczynami to tylko na scenie!... Co chwila mnie pan chciał ściskać, całować... Opędzić się panu nie mogłam... Żeby się pan we mnie nie kochał, to by się panu było wreszcie sprzykrzyło...

R. Widziałem, żeś taka dzika, chciałem cię obłaskawić!...

M. Nie jestem ja wcale dzika!... alem sobie powiedziała: Dobrze! — ale dopiero jak zostanę dyrektorową. Bez tego to nic z interesu!

R. Patrzajcie państwo, jakie to w tym kocmołuchu ambicye!...

M. I dlatego myślę sobie tak: buda panu nie idzie — trzeba budę zwinąć i zacząć całkiem na nowo, i zrobiłam ten kawał z jubileuszem. A teraz — jeżeli panu potrzeba dyrektorowej — to jestem!

R. Phi!... wiesz ty?... Ty jesteś dyabeł nie dziewczyna!... Ty mi się podobasz!... Żeś ładna, to wiedziałem oddawna, ale myślałem, żeś głupia... Tymczasem... Daj no buzi!...

M. Oho!... nie tak!... Musi się pan do mnie umizgnąć z szykiem!... Do mnie się już hrabiowie umizgali... i niejeden oberwał...

R. Nie!... Ona jest pyszna!... Mianuję cię dyrektorową! Będziemy grywać we dwoje! Masz odwagę?

M. Ile tylko potrzeba!... Będę grać, tańczyć, śpiewać...

R. Tak odrazu?...

M. Ja już przed lustrem w domu Bóg wie co wyprawiam od pierwszego dnia, jak byłam u pana... Umiem na pamięć i Otelię i panią majstrową...

R. Brawo!... Ale nie przestraszysz się, jeżeli z początku będą trochę gwizdać?... Bo widzisz w początkach gwizdanie nie hańbi, owszem...

M. Już ja się nie boję! Niech mnie tylko zobaczą!

R. To nie ma co zwlekać. Jutro damy nasz pierwszy wieczorek. Bilety rozniesiemy sami, twoim ślepkom nikt się nie oprze. Jeżeli ja się nie oparłem!... Tylko... aj!... w co ty się ubierzesz?!...

M. Nie bój się pan! (*wskazuje na kufry*).

R. Ależ tam są same kamienie!

M. Na spodzie — na wierzch nakładłam cichaczem z garderoby dyrektorowej wszystko, co mi

w pierwszej chwili może być potrzebne... Przecież to jest pańskie! za pańskie pieniądze!..

R. Dobrześ zrobiła! To moja krwawica!... Ale toś ty sobie zagospodarowywała, jak widzę, swoją dyrekcyę już tak: na pewniaka!

M. To się wie!

R. Muszę!... Muszę cię ucałować!!... (*porywa ją w pół i całuje*).

M. (*wyrywając się*). Nie! nie!... niech mnie pan puści...

R. To za ten jubileusz...

M. Urządzi pan jutro drugi. Sala się będzie trząść od oklasków! Ja w tem!

R. Bardzo być może. Nie jednę już człowiek gwiazdę teatrowi przysporzył!... Ja mam w tych rzeczach szczęśliwą rękę. (*całuje ją*).

M. (*broniąc się*). Dosyć już! małpo jedna...

R. Małpo?!... Jak ona się szybko oswaja z swem nowem stanowiskiem. Maryś! z ciebie będą ludzie!...

(*Kurtyna*).

PODRÓŻ POŚLUBNA.

Krotochwila w 1 akcie — Z. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Mąż.*
Żona.

Współcześnie.

(*Scena przedstawia poczekalnię kolejową z trojgiem otwartych drzwi w głębi*).

SCENA 1.

MĄŻ — ŻONA.

ŻONA (*wchodząc szybko lewemi drzwiami w głębi:*) Portyer?!... O której odchodzi najbliższy pociąg?...

MĄŻ (*wchodząc szybko z prawych drzwi w głębi:*) Portyer?!... O której najbliższy pociąg opuszcza stacyę?...

(*Oboje w eleganckich kostyumach podróżnych chodzą wzburzeni, każde z osobna w tył i naprzód każde po swojej stronie sceny, mówiąc n. s. przez cały początek sceny*).

Ż. (*n. s.*) Odjadę najbliższym pociągiem do mamy i podam natychmiast o rozwód.

M. (*n. s.*) Wracam do rodziców i oświadczam teściowi, że może sobie odebrać swoją córeczkę.

Ż. Im wcześniej, tem lepiej. Chciał — ma!

M. Lepiej późno, niż nigdy. Ma, czego sama chciała.

Ż. W miesiąc po ślubie!... w miesiąc po ślubie!... Czy to kto uwierzy?!...

M. Po czterech tygodniach pożycia!... Słyszeliście coś podobnego?!...

Ż. Innyby się maskował bodaj z pół roku!

M. Kobiety przecież potrafią, gdy chcą, udawać całe lata!...

Ż. A ten już teraz!... W pierwszym miesiącu!... W połowie naszej podróży poślubnej!... Boże! co za potwór!...

M. Tymczasem ta już po miesiącu!... przed ukończeniem jeszcze naszej podróży poślubnej!... Bogowie!... te kobiety!...

Ż. Niech się jednak nikt nie łapie na jego przyzwoitą minę... na to, że jest przystojny, sympatyczny a nawet dowcipny... To fałsz! to wszystko fałsz!... Pozór! udanie! maska!...

M. Nie trzeba jej tylko sądzić z pierwszego rzutu oka!... Łapać się na jej anielskie minki... na jej dziecięcy uśmiech... na jej... na jej wdzięki... To kłamstwo!... to wszystko kłamstwo!... Blichtr! maska! zewnętrzna pozłota!...

Ż. Cały jego szyk jest dziełem fryzyera i krawca, maniery wyuczone, a dowcipy to Bóg wie jak dawno czytałam po kalendarzach.

M. Większą część swych powabów zawdzięcza ona — jak wszystkie — krawcowym i modniarkom... kibić—sznurówce... płeć—składom perfu-

meryi. Uśmiech—studyuje w lustrze... ma nawet jeden plombowany ząb.

Ż. Och! gdybym była przeczuła!...

M. Przysięgam, że gdybym był wiedział!...

Ż. (*zwracając się w głąb, w lewo:*) Portyer!... Kiedyż nareszcie będzie się można dowołać portyera?!...

M. (*tak samo, w prawo:*) Czy portyer się wreszcie pokaże?!...

(*Stoją chwilę w głębi, patrząc za scenę, poczem idą oboje na front i siadają, on z prawej, ona z lewej. Po chwili niemej gry:*)

M. (*już nie n. s.*) Więc pani odjeżdża?

Ż. Tak panie.

M. Czy wolno wiedzieć: dokąd?

Ż. To już moja rzecz.

M. Przepraszam! jesteś pani moją żoną!...

Ż. Niestety. Jeszcze.

M. Do słówka „niestety“ ja większe miałbym prawo. Nie wygłaszam go tylko przez delikatność.

Ż. Zdwój pan swą delikatność — i nie odzywaj się wcale.

M. Odzywam się tylko z konieczności, a jeśli robię pani tem przykrość, proszę mi wierzyć, że sprawiam tem sobie taką samą.

Ż. Więc o cóż idzie?

M. O to, dokąd pani jedzie.

Ż. Dokądkolwiek, — byle nie w tę stronę co pan.

M. Dokądkolwiek?!... Pani?!... Osoba tak młoda?!... Sama jedna?!...

Ż. Proszę się o mnie nie troszczyć. Dam sobie radę.

M. Śmiem wątpić. Ale przypuśćmy. Zatem pewno na północ?

Ż. Dlaczego?

M. Bo ja jadę dalej na południe.

Ż. O! w takim razie na północ! na północ!

M. (*z naciskiem.*) Ku ojczyźnie przedsiębiorczych Anglików...

Ż. W każdym razie nie w stronę natarczywych Włoszek.

M. Dobrze. Bardzo dobrze. Niech pani jedzie dokąd pani chce. Po tem, co między nami zaszło w wagonie...

Ż. Tak jest!... Po tem, co między nami w drodze zaszło — wszystko skończone.

M. Wszystko! — raz na zawsze.

Ż. Raz na zawsze! — Ma się rozumieć.

M. Odtąd pani sobie sama... a ja sobie sam... Pani w prawo — ja w lewo...

Ż. O! panu w to graj: w lewo!...

M. Każde w swoją stronę! każde sobie!... Ja sobie już powiedziałem — acz z bólem: — Nie mam żony!...

Ż. Ja sobie bez najmniejszego bólu, owszem, z radością, powiedziałam: Nie mam męża!

M. Jeżeli mówię: z bólem — to nie znaczy, aby mi szło o panią!.. O nie!... Po tym ciosie, jaki w mą miłość wymierzyłaś...

Ż. W pańską miłość!... Ha, ha, ha!...

M. Jakto?... A cóż to było: od całego miesiąca?... Na co patrzyły całe Włochy?... tyle dworców, tylu fiakrów, portyerów, konduktorów, garsonów, dziewcząt hotelowych—jeżeli nie na moją miłość gorącą?...

Ż. Do obcesowych Włoszek z pomarańczami!

M. Pani! Nie zapominaj o angielskich turystach, którzy ofiarowują współpasażerkom czekoladki...

O pani! ten ból, jaki mi zadałaś za pomocą Anglika...

Ż. Znowu: ból?...

M. Nie o panią już teraz! Nie o panią!... Jeżeli mnie coś boli, to... to, że to jakoś tak głupio człowiekowi jechać dalej bez żony, wyjechawszy z żoną... Głupio i... i śmiesznie... Ale przedewszystkiem: głupio... No i przykro... Bo chociaż pani zachowujesz się w ogóle zalotnie... proszę się uspokoić, nie wspomnę już więcej o Angliku... ale potrafiłaś być także miłą... chwilami... i dla męża... Jesteś pani bardzo ładną kobietką... masz śliczną figurkę... cudowne zęby... zachwycającą płeć... Nie mówię tego bynajmniej, żeby sobie panią ująć!... O nie!... Między nami wszystko skończone!... Tylko dla skonstatowania faktu. Takie n. p. usteczka jak pani... nawet gdy nie całują... a cóż dopiero w momencie całowania... Więc każdy rozumie, że naraz to wszystko stracić, kiedy niedawno jeszcze miało się to na zawołanie...

Ż. Na zawołanie?!...

M. To jest chciałem powiedzieć: blizko siebie... Ja miałbym prawo nazwać się pokrzywdzonym przez odjazd pani!... Ja nawet miałbym prawo upomnieć się o moje prawa i zmusić panią na drodze prawa... Ale nie chcę!... Nie, to nie!... Skoro pani tęsknisz do Anglii — szczęśliwej podróży... Ja sobie pojadę...

Ż. Między Włoszki.

M. Włoszki?... A tak! Owszem! Lubię Włoszki. A choćbym ich nie lubił, mogę je przecież polubić. Cały świat zachwyca się Włoszkami, dlaczegóżbym ja, z tego jedynie powodu, że los mnie ukarał niedobrą żoną...

Ż. Ukarał?!... Niedobrą?!...

M. Nie powiem przecież: „uszczęśliwił“ — nie nazwę pani „dobrą“, jeżeli przenosisz nad męża pierwszą lepszą angielską wędrowną małpę z żółtemi bakami... Tak dobre żony nie robią!

Ż. A jak się zachowuje „dobry“ mąż?... Czy dobry mąż będzie wyskakiwał z wagonu na każdej stacyi kręcić się koło Włoszek z owocami...

M. Żeby pani kupić owoców!...

Ż. Żeby oczkować z Włoszkami i szczypać je w podbródek!

M. Uszczypnąłem w podbródek, ale tylko jednę, żeby nieco spuściła z ceny, bo mnie pani łajesz za rozrzutność...

Ż. Wolę rozrzutnego męża, niż takiego, co szczypie młode kobiety i to w moich własnych oczach.

M. To właśnie dowód, że nie miałem żadnych grzesznych intencyj.

Ż. Trudno je było mieć na trzechminutowym przystanku.

M. To także dowód, że ich nie miałem.

Ż. To by też ostudziło zapał najbardziej zepsutego rozpustnika, ale taki Turek, jak pan, musi bodaj w podbródek uszczypnąć jakąś tam nieumytą włoską małpę...

M. Owszem, umytą — tylko opaloną.

Ż. Mniejsza zresztą o to. O cóż właściwie idzie?

M. O to, że pani nie masz racyi upierać się, że pojedziesz sama.

Ż. Upieram się i pojadę.

M. Tak?

Ż. Tak.

M. Stanowczo?

Ż. Bezwarunkowo.

M. To dobrze. W takim razie proszę o klu-

czyki od kufrów, bo w pani kufrach są niektóre moje rzeczy a w moich kufrach są niektóre pani rzeczy, trzeba je więc poprzekładać, żeby pani sobie miała tylko swoje rzeczy a ja, żebym miał wyłącznie moje rzeczy.

Ż. Oto są kluczyki.

M. Dziękuję. Natychmiast zabiorę się do dzieła. Moje uszanowanie pani! (*odchodząc głębią w prawo, n. s.*) Zła!... okropnie zła!... Ktoby przypuścił, że ta kobieta, ta sama kobieta, która tak się umie tulić, przymilać — jest w gruncie rzeczy taka zła i potrafi, w miesiąc po ślubie... dla pierwszego lepszego Angłika... A!!... (*odchodzi*).

SCENA 2.

ŻONA (*sama*).

Ż. Poszedł!... Niegodziwiec!... Zamiast błagać mnie o przebaczenie — jeszcze wyrzuty!... Zamiast prosić na klęczkach, abym go nie opuszczała — przystaje na to! ma tyle zimnej krwi, że pamięta o kufrach i o przełożeniu swoich rzeczy do swoich a moich do... Zamiast mi zagrozić, że sobie życie odbierze, jeżeli odjadę, że się rzuci pod lokomotywę — on... Czy tak robią kochający prawdziwie mężowie?... Czy tak się postępuje z żoną, poślubioną z miłości... niezłą... niebrzydką... owszem, bardzo nawet... Przecież sam mówił!... Nie!... on mnie nie kocha!... Żeby mi był powiedział chociaż jedne przyjemne słowo!... Coby mu to było szkodziło powiedzieć, że się rzuci pod lokomotywę?... Toby było z jego strony tak ładnie!... Nie potrzebowałby się przecież naprawdę rzucać!... Ale ja wtenczas mogłabym z honorem ustąpić... mogąc kiedyś, w razie czegoś, powiedzieć: — „Trudno!

chciałeś się rzucić pod lokomotywę, więc ustąpiłam...“ A tak co? Powiedziałam, że odjadę i muszę dotrzymać słowa, żeby uniknąć kompromitacyi... Och ten Bolek!... ten Bolek!... Napewne mu te czarne cyganichy głowę musiały zawrócić... One przecież żyją z oczkowania. I pojedzie za niemi... A jak mu do nich spieszno!... Czemprędzej kuframi się zajął... Boże!... Jakaż ja nieszczęśliwa!...

SCENA 3.

ŻONA — MĄŻ (*wchodzi*).

M. (*n. s.*) Płacze?!... Albo też udaje... (*gł.*) Pani płakała?...

Ż. Ząb mnie rozbolał...

M. (*troskl.*) Ząb?!... Przyniosę krople...

Ż. Obejdzie się. Nie ząb. Płakałam... ze złości. Ze złości, że nie jestem już daleko stąd. Jak najdalej!...

M. Przykro mi, że życzenia te nieprędko się ziszczą, bo—widziałem się właśnie z portyerem—najbliższy pociąg odchodzi dopiero jutro rano... Ten kawałek linii jest bardzo niebezpieczny a ponieważ tor kolejowy w górach zepsuł się w kilku miejscach, więc pociągi nocne chwilowo nie kursują... Musi pani zaczekać do rana.

Ż. (*n. s.*) Co za szczęście!... Do jutra mnie przecież przeprosi!...

M. Za to na południe pociąg wyrusza za jakieś małe pół godzinki, tym sposobem będę mógł ku zadowoleniu pani bardzo prędko zniknąć jej z oczu.

Ż. Powiedz pan: ku swemu własnemu zadowoleniu.

M. Ja już pogodziłem się z losem. Kiedy ko-

muś wskazują drzwi, nie wypada, by wciskał się oknem. Poprzekładałem już nasze rzeczy, oto pani klucze — moje zatrzymałem. (*zapala papierosa*).

Ż. (*n. s.*) Więc to na seryo?!... On odjeżdża!... Za pół godziny!... Odjedzie... no i... po miodowych miesiącach... po podróży poślubnej... po wszystkiem... Wrócę do mamy... do taty... a on...

M. Czy nie ma mi pani czego jeszcze do powiedzenia? do rozkazania?... Bo krótki czas, jaki nam pozostaje...

Ż. (*n. s.*) Więc to na seryo!... Po cóż ja przyjmowałam od tego Anglika czekoladki!... po co wyrzucałam Bolkowi jakąś tam pomarańczarkę!...

M. (*patrząc na zegarek:*) Mam jeszcze niecałe 20 minut....

Ż. (*n. s.*) Dwadzieścia minut!... To przecież okropne!... On jest bez serca!... On nie ma prawa mnie... Ja mogę! mnie wolno! bo przecież jego obowiązkiem mnie zatrzymać... Ale żeby on, on sam odjeżdżał... To byłoby niegodziwe... Przecież to są... moje... nasze... miodowe miesiące!... Ja... ja go kocham!... Ja... ja bez niego...! On to powinien zrozumieć... powinien się tego sam domyśleć... ja mu przecież tego wyznawać nie... (*szybko wychodzi*).

SCENA 4.

MĄŻ (*sam*).

M. A to co?... To ja czekam, rychło ona zrozumie... rychło się domyśli i na szyję mi się rzuci... a ta... To takie kochanie?!... Przecież jeszcze wczoraj wieczór!... nie! dziś rano jeszcze... i to nie!... dopiero parę godzin temu... po obiedzie... szeptała do mnie, wśród najgorętszych pocałunków... a teraz... Eee!... cóż to znowu?!... Dokąd

że jeszcze będą trwały te dąsy?!... I o co? — pytam się... O jakąś pomarańczarkę!... Małżonkowie na całym świecie różnią się, kłócą... nawet biją... i jak się biją!... a przecież potem... Gdybym ją wreszcie zbił... aa!... Chociaż i wtedy... Cóż to?... Czy się to nie praktykuje?... Mąż ma prawo... To nawet podobno czasem nie źle robi obojgu... A ja jej przecie nie biję... Mimo prawa!... Więc skądże?!... Włoszka?!... Wielkie rzeczy!... Uszczypnąłem ją... ot tak... z przyzwyczajenia... Przecież nawet wypada... Cóż by to była za podróż po Włoszech, żeby człowiek ani jednej Włoszki nie uszczypnął... Pięknąby potem miały opinię o nas, ludziach z północy... Kochająca żona to nawet powinnaby być kontenta!... a... a w każdym razie nie powinna z tak błahego powodu trzymać męża godzinami... (*patrzy na zegarek*) tak jest! kłócimy się już od pięciu kwadransów, więc mogę powiedzieć: godzinami całemi — na dyecie... Kto widział w czasie miodowych miesięcy nie pocałować się ani razu przez całe pięć kwadransów!... Muszę ją odszukać... Wandziu!... Wandziuchno!!... (*wychodzi głębią w lewo*).

SCENA 5.

ŻONA (*sama*).

Ż. (*wchodzi głębią z prawej:*) Aha!... niepokoi się, nic dobrego!... Szukaj mnie!... szukaj!... Nie pokażę mu się, dopóki ten pociąg na południe nie odejdzie, wtenczas będę panią placu... Albo—możeby się nad nim zlitować... On z pewnością równie gorąco pragnie zgody jak ja... Nie gniewaliśmy się przecież dotąd nigdy jeszcze tak długo... (*usły-*

szawszy jego kroki zwraca się w tył:) Idzie tutaj!... (*biegnie na front szybko i siada w oboj. postawie*).

SCENA 6.

MĄŻ — ŻONA.

M. (*wchodząc — wzruszony:*) Moja Wandziu!... tak się nie robi... Nie! nie!.., nic nie mów, ja już powiedziałem i nie cofnę: tak się nie robi!... Ty nie masz i nie miałaś najmniejszej racyi! ale jeżeli sądzisz, że i ja nie mam racyi, to się mylisz! to się bardzo mylisz, moje dziecko, powiadam ci!... Ty jesteś ładna... bardzo ładna!... nawet — ja nie przesadzam! — nawet śliczna kobieta... Takiej kobiety jak ty, to ja w życiu drugiej... A Anglicy znają się na ładnych kobietach... Muszą się znać... Gdyby się nie znali, toby ich już dawno nie było na świecie... Otóż jeżeli Anglik częstuje w wagonie taką śliczną kobietę, jak ty, czekoladkami, to naturalnie ani ja nie wiem, ani ty, co on sobie myśli, ale właśnie dlatego mam prawo dużo przypuszczać!... bardzo dużo!... a nawet daleko więcej... Anglicy są, jak wiadomo, bezczelni! Bezczelni! Każdy Anglik jest bezczelny. To też ja mógłbym Anglika za te czekoladki zabić!—bez najmniejszego wahania!... Mógłbym i ciebie zabić!... naturalnie z trudnością i rzewnie płacząc — mógłbym i siebie też... Ale ja nie lubię nikogo zabijać. Nikogo jeszcze w życiu nie zabiłem, więc po co mam właśnie teraz... w połowie podróży poślubnej z tobą, którą tak... po co mam trzy osoby odrazu... Jednem słowem nie zabiję nikogo. Bądź spokojna, przysięgam ci! nikogo!... Anglika nie, bo już odjechał — ciebie nie, bo cię kocham, bo cię tak kocham, że... no a siebie także nie, bo toby było niegodziwo-

ścią robić cię wdową w miesiąc po ślubie, czegobym sam sobie nie darował i za co by mnie świat wytykał palcem do końca życia. Ale jeżeli tobie się zdaje, że ja, który miałbym nietylko siłę nas troje zabić, ale nawet zdobędę się na jeszcze większą i nie zabiję nikogo, że ja ci pozwolę odjechać do domu samej — to się mój aniołku mylisz ogromnie!... Nie pozwolę!... Albo jedziemy dalej razem — albo zostajemy tu, także razem — albo ostatecznie, jeśli cię Włochy nudzą, wracamy — ale razem!... wszędzie razem!... wszystko razem!... Ja tak chcę — i tak być musi!... To jest moje ostatnie słowo — basta!... Uf!... (*przechodzi*).

Ż. (*wybuchając długo wstrzymywanym śmiechem:*) Ha ha ha!... ha ha ha!...

M. Co to?... Ona się śmieje?...

Ż. Ha! ha! ha!...

M. Ty się śmiejesz?!... Z czego ona może... Z czego ty się...?

Ż. Z ciebie! naturalnie, że z ciebie!

M. Ze mnie?!... Wandziu!...

Ż. Ale bo któż widział!... Prawisz mi takie długie!... takie piorunujące kazanie, żeby mnie przekonać, że bez ciebie nigdzie nie pojadę, a ja tymczasem...

M. (*z radością:*) Ty sama nie masz do tego najmniejszej ochoty?...

Ż. No naturalnie!... Czyżbym ja nawet potrafiła?!...

M. A jednak dałaś mi klucze od kufrów, żebym sobie zabrał swoje rzeczy... Czy to nie znaczyło: jedź sobie gdzie chcesz?!...

Ż. Bo ich odemnie żądałeś! a to znaczyło: bywaj zdrowa!...

M. A ja tymczasem kufry moje i twoje kazałem zamknąć w magazynie!...

Ż. A ja prosiłam na wszystko portyera, aby cię nie zawiadamiał o odejściu pociągu na południe!...

M. Więc nie jedziemy dalej?

Ż. Owszem! ale po cóż zaraz dzisiaj! W tych wagonach tak dudni i brzęczy...

M. Tutaj niedaleko jest taki ładny hotelik...

Ż. Ten wśród ogrodu?!...

M. Już go widziałaś?...

Ż. Myślałam sobie, że w nim... zaczekamy na jutrzejszy pociąg (*całują się*).

(*Kurtyna*).

PO SĄSIEDZKU.

Scena solowa w 1 odsłonie — Z. Niedźwieckiego.

(*Mężczyzna w średnim wieku, typ charakterystyczno-komiczny, wchodzi w kapeluszu na głowie, z płonącą świecą drzwiami w głębi—i rozglądając się:*) Umieciono... wykadzono... zapalono... Pawłowa się spisała!... Jak zwykle przed pierwszym... Bardzo to dobrze, że się spisała, bo dzisiejszy wieczór przepędzimy u siebie, w błogiej ciszy domowego ogniska. Kto ma wszystkiego (*dobywa pulares, otwiera i rachuje*) w kieszeni guldena trzydzieści centów, nie może się zbytnio szastać. Zresztą obiecałem redaktorowi machnąć na jutro jaki dwustuwierszowy sensacyjny artykuł... tylko o czem?... — a przytem... przytem czekam na: Musię... Sierota, którą się opiekuję... Trochę na złej drodze... jest modelką... ale mam nadzieję, że z czasem, słuchając mych rad, może się jeszcze ustatkuje... Dlatego zapraszam ją do siebie jaknajczęściej, żeby ją usunąć z pod złych wpływów i przyjmuję ją jaknajskromniej, aby jej nie psuć hojnością... robię w ogóle co tylko w mej mocy, ażeby to dziecię zbłąkane... (*pukanie w drzwi:*) Aha!... Ona!... (*idzie do drzwi:*) Jesteś psotnico?... (*otwiera — zdziwiony, mówi po za drzwi jakby do kogoś:*) Prze-

praszam... ja myślałem... Pan sobie życzy?... Aha... sąsiad... Tak, przypominam sobie teraz... Z drugiego piętra!... Ja wolę trzecie, bo tu mi już nikt nad głową nie hałasuje, za to w razie pożaru spalę się o kwadrans wcześniej niżeli pan... Ale niechże pan bliżej pozwoli... Spieszy się...? Czemże więc mogę?... Zapałek?.. Proszę pana!... (*idzie do stolika, bierze kilka zapałek, zanosi do drzwi*).. Proszę!... Z całą przyjemnością!... Ależ najmniejszej subiekcyi!... Między sąsiadami — to: dziś ty mnie — jutro ja tobie... Bardzo mi było przyjemnie. Moje uszanowanie... (*odchodząc od drzwi:*) To ten młody człowiek z drugiego piętra. Dobrze, że mi Musi nie spłoszył. Ona taka płochliwa... Obawia się, żeby nas nie posądzono... I ma słuszność!... Złośliwość ludzka... (*pukanie.*) A co?!... Ona!... O mały włos — byliby się zeszli z tym akademikiem. (*idąc do drzwi:*) Śmiało, mój skarbie!... (*otwiera*). Ach!... to pan... Pudełko?... Prawda!... (*biegnie do stołu po pudełko od zapałek.*) Wybacz pan, że w roztargnieniu nie dałem odrazu... (*wśród ukłonów zamyka drzwi—i odchodząc:*) Istotnie dać komuś szwedzkie zapałki bez pudełka, to wygląda na kpiny... (*nasłuchuje:*) Nie idzie ona tam jeszcze?... (*patrzy na zegarek.*) Ba!... dopiero dziewiąta!... a Musia punktualnością nie grzeszy... Możeby tak machnąć tymczasem jaką dwustuwierszową maszynę do jutrzejszego „Gońca“, coś takiego z pieprzem i solą, coby jak pokrzywami siekło... Naród takie rzeczy lubi!... Czuję w sobie niebywałą werwę!... Ale o czem tu pisać?!... Na skandaliki posucha, ludzie boją się ich popełniać albo jeżeli już ktoś coś popełni, to w największym sekrecie... kaczek puszczać nie wypada... ważne rzeczy zdarzają się co najwyżej raz na tydzień — a tu

„Goniec“ codziennie napakować trzeba nowinami... *(staje z palcem na czole:)* O czem by tu?... *(pukanie)* Musia!... Doskonale!... Może mi przyniesie natchnienie... *(idzie do drzwi ochoczo; otwiera:)* A!... to jeszcze pan... Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... Świecy?... Zobaczę... jeśli drugą mam... Ależ proszę bardzo!... Między sąsiadami!... Zaraz poszukam... To nawet moja powinność, bo niby cóż z zapałek, gdy niema świecy... Jak na złość nie mam—ale dam panu pół mojej... *(łamie świecę, zanosi do drzwi).* Proszę!... Z przyjemnością!... z prawdziwą przyjemnością... *(odchodząc od drzwi).* Musiałem się go czemprędzej pozbyć, w chwili, kiedy Musia co tylko... Ale ona się coś dzisiaj bardzo... *(patrzy na zegarek).* Nie, dopiero kilka minut po dziewiątej. Czasami minuty wloką się jak kwadranse, a przy mojej dzisiejszej werwie... No i zresztą ta Musia... Trzeba ją znać!... Ruda jak cynober!... Pięć pieprzyków na twarzy!... coś cudownego... A że ja jestem znawca, kobiety zaś przepadają za prawdziwymi znawcami, więc też lgnie do mnie jak ćma do światła... *(pukanie).* Nie mówiłem?!... Zobaczycie państwo zaraz, jak mi się rzuci na szyję... *(otwiera drzwi).* Znowu pan?!... Nie! ja się nie gniewam, tylko... ot małe zdziwienie, że już po raz trzeci... Czwarty?... A tak, czwarty... No proszę otwarcie.. bez ceremonii... Sąsiedzi — to jak rodzina... Ma pan u siebie ciotkę?... Aha!... nagle przyjechała... Pojmuję! młody człowiek, zależny od względów cioci... Trochę herbaty?... I owszem! z całą gotowością! Oto herbata!... *(n. s.)* Tylko sobie idź!... *(gł.)* Może cukru?... A widzi pan! *(bierze z cukierniczki na spodek kilka kawałków cukru — n. s.)* Dam mu i cukru, tylko niech się wynosi i nie wraca... *(gł.)* Proszę...

Ależ nie ma za co!... Co?... Arak?... Hm... może być, że znajdę kropelkę... I przekąska?!... *(n. s.)* Nie!... on zaczyna być bezczelny!... *(zbiera żądane przedmioty ze stołu i zanosząc do drzwi)*. Proszę pana... tu arak... a tu... połowa moich wędlin... *(n. s.)* Bodajś się niemi udławił! razem z ciotką! *(gł.)* Pan wybaczy, że arak nie jest pierwszej jakości, ale... Co?... Bułeczek?... *(wybucha:)* Ależ pa...! *(mitygując się, słodko)*. Ależ panie! z największą chęcią! Do wędlin niezbędne jest pieczywo, przepraszam, że sam o tem nie pamiętałem... *(z przesadną uprzejmością:)* Może panu potrzeba musztardy? oliwy? octu? szklanek? spodków? łyżeczek? noży? widelców? Może panu z tem niewygodnie, to za panem odniosę... Proszę mną rozporządzać!... niech pan się całkiem nie żenuje... Między sąsiadami... Moje uszanowanie!... Moje najgłębsze uszanowanie!... *(zatrzaskuje drzwi — odchodząc na front:)* Żeby cię jasny piorun trzasł!!... *(wraca do drzwi — i otwarłszy je, podniesionym głosem)*. Mam jeszcze wyborne jabłka!... Może pan parę jabłuszek pozwoli!... *(do publiczności)*. Nie! wiecie państwo?!... Wrócił się!... To człowiek bez czoła!... *(porywa z szafy torebkę z jabłkami i zanosząc ją do drzwi porywczo)*. Weź pan... Proszę pana, weź pan prędko!... *(trzęsąc się)* i idź pan do swojej cioci... niech ciocia nie czeka... niech się na pana nie gniewa... i niech... i niech... *(zamykając drzwi porywczo)* i niech pana! razem z pańską ciocią!... *(zdradza giestem brak tchu—ciszej, opuszczając ręce bezwładnie)* niech was oboje wszyscy dyabli wezmą!... *(żałośnie)*. Obrabowała mnie bestya z prowiantów, nie będę miał czem przyjąć Musi, a ona ma zawsze taki apetyt!... Nie pozostaje nic, jak pójść z nią gdzieś na kolacyę za ostatniego

guldena... Coś podobnego mi się jeszcze w życiu nie zdarzyło, jak Boga kocham... Ja jemu palec — a ten za całą rękę... Co za bezczelność!... Gdybym był przewidział!... Popsuła mi bestya cały humor... Zaczęły mi się już snuć po głowie myśli... świetne myśli!... naraz wszystko się rozlazło, roztrzęsło, rozleciało... Otóż macie wieczór, spędzony w ciszy domowego ogniska, z piórem w dłoni i ukochaną istotą przy boku... Żeby choć Musia raz przyszła... To jedno mogłoby mi humor poprawić... *(patrzy na zegarek)*. Pół do dziesiątej! Najwyższy czas!... *(pukanie)*. A chodźże już, chodź, nicdobrego!... *(spieszy do drzwi — otwarłszy, odskakuje, dygocąc)*. Panie!... Panie!!... Co ja panu złego zrobiłem?!... Czego pan chcesz jeszcze?!... Czyś pan się na mnie uwziął? czy co?... Prócz garderoby i papierów nie mam już nic do ofiarowania... A może u pana w piecu nie zapalone?... Proszę! zabierz pan sobie moją pakę z węglami... A jeśliby pański piec trochę dymił — przyjdź pan po mój piec... Bierz pan stąd, co się panu tylko podoba, ja nie odmawiam, ponieważ byłem taki głupi i nie odmówiłem panu zaraz za pierwszym razem zapałek... Bierz pan co panu w ręku wpadnie, ponieważ trafiłeś pan przypadkiem na człowie... Jestem „cokolwiek“ zirytowany?!... Panie!... ja jestem wściekły!!... Ja mam już tego dosyć!!... rozumiesz pan?!... Pan tu sobie gospodarujesz, jak u siebie w domu... jak w hotelu!... jak w nocnej restauracyi!... Pan! którego nie znam, zakłócasz mi dla swej ciotki, której także nie znam!... moje jedyne dobro!... mój spokój domowy!... którego także nie znam... te! który jest mi droższy nad... Tego już za wiele!... Co?... Posłuchać?!... Nic nie słucham... Co?!... „I ja byłem młody“?!... Mój pa-

nie!... Wypraszam sobie!... To jest impertynencya!... Ja jestem młody do dzisiaj!... Spytaj się pan Mus... te!... Zresztą: czego pan tu jeszcze chcesz?... Co?!... To nie ciotka?!... Więc plądrujesz pan u mnie od pół godziny na rzecz ciotki, która nie jest ciotką... Czemżeż ona jest u dyabła?!... Co?!... stosuneczek?!... nagle uzyskane sam na sam?!.. *(mięknąc)*. Hm... to pana istotnie tłómaczy... W pańskim wieku... Lecz o cóż idzie?... Pańska przyjaciółka nie chce wyjść bez woalki?... Jakżeż przyszła?!... Schody nie były jeszcze oświetlone... Skądżeż ja panu wezmę! nie chodzę w woalce... Jesteś pan chwilowo w kłopocie?... Rozumiem... rozumiem... *(sięgając do kieszeni, n. s.)* Dyabli nadali... Muszę mu pożyczyć ostatniego guldena, bo przecież nie wypada się przyznać, że to ostatni. *(gł.)* Proszę... Ależ to bagatela!... Z prawdziwą przyjemnością!... Między sąsiadami... *(zamyka drzwi)*. Pożegnaj się Musiu z kolacyą!... Ja pojmuję tego smarkacza... Nagła okazyjka!... Nie był przygotowany!... Miewało się takie przygody!... miewało!... Oddałem mu kolosalną przysługę!... Muszę to opowiedzieć Muszce, uśmiejemy się!... Ona lubi pikantne historyjki... I ja niemi nie gardzę!... To też ile razy mnie odwiedzi... *(pukanie— biegnie do drzwi)*. Czemuż tak późno?!... *(otwiera)*. To pan?!... Kupiłeś pan tę woalkę?!... Za mało pieniędzy?!... Trzeba się było targować!... Wytargowałeś pan na reński 30 centów... *(do publ.)* Przyszedł mi wydrzeć ostatnie trzydzieści centów!... *(do drzwi)*. Masz pan... i: dobranoc!... Mój złociutki panie: dobranoc!!... *(zamyka drzwi)*. Jeżeli jeszcze raz przyjdzie — nie otworzę mu!... *(zamyka drzwi na klucz)*. To istna plaga!... Nawet się nie odezwę!!... Albo... albo nagadam mu osta-

tnich impertynencyj!... Albo i to nie! Wyleję mu co na głowę... Tak będzie najlepiej!... Nie mówiąc ani słowa chlusnę na niego... Tylko żebym znów przez pomyłkę Musi... Aj! żeby już raz przyszła!... Jeszcze nigdy nie czekałem jej przyjścia z takiem upragnieniem!!... Ta cała awantura rozżarzyła we mnie krew do najwyższego stopnia... Czuję się — niby wulkan!!... *(pukanie—zrywa się ku drzwiom, lecz staje — n. s.)* To ona? — czy znowu ten natręt?... *(pukanie — słucha)*. To jego głos! Nie! nie otworzę!... Na dowód wzgardy...! *(pukanie)*. Czego pan jeszcze chcesz u licha?!... Podziękować?... Nie potrzebuję pańskich podziękowań!... Idź pan spać! odczep się pan raz odemnie!!... *(słucha)*. Nie ciekawym!... Nic mnie ta facetka nie obchodzi, ananas czy nie ananas, opisuj i zachwalaj ją pan sobie komu innemu!... *(nagle—osłupiały)*. Co?... Rude włosy?!.. pięć pieprzyków?!... Musia!! modelka!!... *(otwiera na gwałt drzwi—rzuca się za próg — staje)*. Uciekł!... Drapnął!... *(wracając do pokoju — w bezsilnej wściekłości)*. A ja, osioł — nie wiedząc... nie domyślając się... nie przeczuwając, że to może być ona... dawałem mu: zapałki, świecę, herbatę, arak, cukier, wędliny, chleb, jabłka, dałem mu ostatni grosz! — ułatwiałem, uświetniałem mu sam na sam z tą, na którą czekam od godziny... A mówiłem, że ta dziewczyna jest na złej drodze!... I nic dziwnego, skoro spotyka takich jak ten wyrafinowanych hultai!... Oto dzisiejsza młodzież!... Zamiast się uczyć!... żyć skromnie!!... I ma tu społeczeństwo nie chylić się do upadku... Brawo!... mam artykuł!... jest temat!... Szarpnę sumieniami, aż zadrżą fundamenta społecznego gmachu i skroję przy tej okazyi kurtę temu smarkaczowi. *(porywa pióro — krząta się*

koło biurka). Zatytułuję: „Upadek obyczajów u młodej generacyi!“ Łupnę jakie 250, 300!... 350 wierszy!!... Ja tego żółtodzioba nauczę... *(patrząc z niepokojem na świecę)*. Masz tobie... świeca się dopala... *(rzucając pióro z pasyą odchodzi od stołu)*. Nie napiszę ani wierszyka — bo mi ten łotr zrabował drugie pół świecy!...

(Kurtyna).

POD KOŚCIOŁEM.

Fraszka humorystyczna w 1 akcie — przez Z. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Dwóch dziadów.*

(ulica — z prawej skrzydło kościoła).

SCENA I.

DZIAD I *(sam).*

DZIAD I *(wchodząc z głębi, z lewej). Ma foi!...* tu będzie nienajgorsze stanowisko... Kościół uczęszczany przez arystokracyę i zamożnych mieszczuchów... na przecięciu czterech ulic... Zostanę tutaj... Dobrze, że się wybrałem tak rano i miejsce jeszcze niezajęte... Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje... No, co Bóg da—to się właściwie dopiero w ciągu dnia pokaże... Na zbyt gorącą jego protekcyę nie liczę, bo mógł mi był przecież zesłać dotychczas coś lepszego, niż miejsce pod kościołem. Ale w braku tego czegoś — dobre i to co jest. Na bezrybiu i rak ryba — jak mówi lud. A skoro nam przyszło chwycić się jednego z procederów, rezerwowanych dla ludu, pocieszajmyż się ludowemi przysłowiami. Teraz przecie wszystko, co ludowe, w modzie. Oj!... jakże mnie łupnęło w kolanie...

Tu, zdaje się, będą przeciągi... Ha! trudno. Minęły czasy, kiedy człowiek mógł unikać przeciągów... Oj, minęły!... Wogóle wszystko minęło, wszystkie wytworne wymogi, przywyknienia, gusta, wykwintne obyczaje i nawyczki — został tylko apetyt i potrzeba przespania się od czasu do czasu... To całe szczęście, że istnieją nocne przytułki. Powinnoby się je tylko dzielić na dwie klasy: pierwszą i drugą, dla lepiej i gorzej urodzonych. Przecież dlatego, że ktoś przez kaprys losu nisko upadł — nie należy go spychać, wbrew jego chęci, jeszcze niżej. Ja n. p. tej nocy musiałem spać na wspólnej pryczy przytułku dla ubogich, mając z prawej strony jakiegoś szmaciarza — szmaciarz... taki specyalista, co zbiera po śmieciach szmaty do kosza a owady do swej garderoby — a z lewej jakieś indywiduum, które za dnia musi się poświęcać czyszczeniu kanałów, bo tak od niego pachło, ale to tak pachło!.. że na samo wspomnienie... *(kicha)* do tej chwili mi w nosie kręci... A że posiadam właściwą ludziom dobrej rasy wrażliwość na zapachy, przytem przepadałem niegdyś za perfumami, więc łatwo pojąć, jakie na mnie wywarł wrażenie bukiet tego kanalarza... To też nie mogłem dospać do rana. Wyrzekłem się — *ma foi* — nawet wspólnej zupy, słomianej czy kapuścianej, którą tam o świcie rozdają i dzięki temu wynalazłem sobie to pyszne miejsce... Ale zapachy sąsiada z lewej a szczególnie żywe kolekcye *(drapie się)* sąsiada z prawej prześladują mnie aż tutaj... Pomyśleć, że dawniej zmieniało się bieliznę i pościel codziennie!... łazienka tuż koło sypialni!... Los ma swoje ofiary, jak ma swoich Benjaminków, to pewna. Wszystko zawisło nie od sprawiedliwości, lecz od trafu. Czyż nie traf zrządził, że te-

ściowi mojemu spaliły się do szczętu jego fabryki i magazyny w rok po moim ślubie?... Gdyby nie to, czy nie byłbym dziś milionerem?!... Ale byłbym nim i tak, gdyby mojego teścia szlag ze zmartwienia nie trafił, bo onby był zrobił dla mnie drugi raz miliony — robić miliony to była jego specyalność. Czybym zresztą nie był milionerem, gdyby mój wuj nie był się ożenił w 60-tym roku życia z szansonetką, która w kilka miesięcy potem — umiała się pospieszyć?!... — odziedziczyła po nim wszystko?!... Czy nie byłbym trzeci raz milionerem, gdyby moja ciotka z obawy o swą duszę nie była zapisała przed śmiercią na cele dobroczynne całego swego majątku?... Czy nie byłbym po raz czwarty milionerem, gdybym, spieniężywszy temu lat... bo ja już wiem, ile?... klejnoty mej żony i pojechawszy z 50-ciu tysiącami w kieszeni do Monte Carlo, był rozbił bank — zamiast przerżnąć wszystko w przeciągu jednej nocy?!... Wszystko zależy od trafu!... a traf jest od pewnego czasu ze mną na bakier. W młodości sprzyjało mi wszystko: przyjaciele, kobiety, polowanie, karta — od pewnej chwili: jak nożem uciął. I dziś człowiek musi siedzieć pod kościołem, ponieważ na dłużej starczyło mu pragnienia i apetytu, niż swoich i cudzych pieniędzy na ich zaspokojenie. Ja!... baron Pozłociński!... ostatni z Pozłocińskich!... ostatnia gałęź wspaniałego drzewa!... Jakiś czas człowiek jeszcze wisiał u klamki dawnych znajomych w Paryżu i zgłaszał się — przez kuchnię — po zapomogi i obiady... Wreszcie i to się porozjeżdżało, powymierało, poznikało, i trzeba było, przywdziawszy odpowiedni kostyum, wyciągnąć rękę pod murem... Nie myślcie państwo bowiem, aby to była właściwa moja postać! O nie!... Ja jeszcze we fraku po

dawnemu prezentuję się jak książę, i gdyby nie wiek i podagra, mógłbym zostać bodaj płatniczym w jakiej wykwintnej restauracyi... Krępują mnie jednak legiony znajomych, jakich mam we wszystkich stolicach. Któż bo nie zna Pozłocińskiego!... Trzecia generacya powtarza moje dowcipy, naśladuje szaleństwa, podziwia konkiety — tylko podać pomocnej ręki nikt nie chce. Niewdzięczne społeczeństwo. W taki sposób traktować tych, którzy mu niegdyś przyświecali, dlatego tylko, że dziś są już ogarkami. Wyjechałem więc z Paryża, gdzie miałem nazbyt licznych znajomych, wobec których duma rodowa nie pozwalała mi rozpoczynać procederu jawnej żebraniny i powróciłem do kraju, bo tu mnie nikt nie zna... Bądź co bądź po życiu, spędzonem za granicą, serce człowieka ciągnie do ojczyzny, do swoich... A ponieważ tutaj w dodatku żebranie po ulicach nie jest jeszcze zabronione, więc baron Pozłociński będzie mógł z całą swobodą wyciągać rękę po grosz .a za dziesięć groszy kłaniać się do samej ziemi... Taki los!... E!... pójdę chyba połknąć na rogu parę kropel pocieszycielki, bo mnie wobec tego wszystkiego gotowa jeszcze nawiedzić melancholia, a tu potrzeba jeszcze sił i fantazyi do walki o byt. Trzeba się nie dać do ostatka!... Trzeba nawet pod murem nastawiać rogi przeciwnościom. Mam jeszcze w kieszeni prawie całą koronę... Rzuciła mi ją wczoraj w przechodzie jakaś... kobieta lekkich obyczajów... One są jeszcze najhojniejsze, bo najwięcej grzeszą. Gdyby mi tak zechciały oddać bodaj z połowę tego, co na nie w swoim czasie wydałem, powozem bym jeszcze mógł jeździć!... Fortuna kołem się toczy!... Zostawię tu *(obok kamienia, pod kościołem)* na znak, że miejsce zajęte — mój ko-

stur. Widzieliście państwo barona Pozłocińskiego z taką sękatą laseczką?... Co?... Ani śladu monogramu!... nawet bez skówki!... A dawniej się nosiło hebanowe, ze złotemi gałkami... Przewroty dziejowe!... Wszystko do góry nogami!... *(wychodzi głębią).*

SCENA 2.

DZIAD 2 *(wchodzi z przeciwnej strony).*

DZIAD 2 *(postać z pod ciemnej gwiazdy, wchodzi nucąc jakąś hulaszczą strofę i z lekka, jakby w tańcu podrygując).* Tak ci to, tak... Przeżyło się dosyć, widziało i słyszało jeszcze więcej... jak w kamerdynerskim stanie... Bo to tak: biedny człowiek nic nie wie, bo nic nie zazna — nie stać go na to. Mali panowie już doświadczą sporo, wielcy — jeszcze więcej, ale najwięcej to jedni tylko lokaje. Pan sobie jest pan!... dużo mu wolno — ale dużo mu nie wypada. Lokajowi zaś wszystko uchodzi i do wszystkiego ma okazyom. Szampan, kobietki, hawańskie cygara, kawior, trufle, ananasy, nawet pańskie garnitury, kapelusze i bielizna. Czasem się tam oberwie pańską laską albo własną rączką jaśnie pana, ale to nie boli, bo zaraz ci dają na zagojenie. Byle tylko nie tykać biżuteryj i pieniędzy — chyba drobne — i pańskie tajemnice szanować — to się siedzi jak u Pana Boga za piecem, a jeżeli w dodatku pani jest grymaśna i często pokojówki zmienia, no! to wtenczas jednemu i w raju nie może być lepiej. Na starość dopiero — klapa. Stłuczesz jedno, stłuczesz drugie, odmrukniesz co panu, bo honor zawdy staje się z wiekiem twardziejszy, młode świszczypały zgrabniej nadskakują — i wtenczas: stary pański

garnitur na drogę, papierka w łapę na otarcie łez, kopniaka w krzyże na pamiątkę — i won!... jużeś niepotrzebny!... O! te hycle panowie nie znają się na wdzięczności!... Niech ta. Na tamtym świecie wszystko im będzie porachowane — a jeżeli jest jaka sprawiedliwość, to ja jeszcze dobrze będę mięszał smołę w tym kotle, w którym się będą smarzyć moi panowie!... (*siadając na kamieniu*). A to co za kostur?... Zostawił se jaki kolega? czy co?!... A może to niby ma znaczyć, żeby mu nie zasiadać miejsca?... Żadne takie, mój bratku!... Pod kościołem nie ma miejsc numerowanych jak w teatrze. Kto pierwszy, ten lepszy. A ja tu siaduję już od miesiąca... i klnę, ile wlezie, bo takich skąpych ludzi jak tutejsze ludzie, nie ma człeku na całym świecie!... Dobrze, jak chociaż dziesiąty grosz rzuci, i to, jeżeli się na mnie nie spojrzy wprzódy, bo wtenczas, choćby już rękę wraził do kieszeni, idzie skurczybyk precz, nic nie dawszy... Widzi mi się, że im się mój nos nie podoba... Jakby to człowiek na to pił, żeby mieć nos czerwony... (*spojrzawszy w głąb*). Aha!... wlecze się jakiś hycel, psuć mi interes jeszcze bardziej... Może ten, co sobie laskę na swoje rezerwowane miejsce postawił!...

SCENA 3.

DZIAD 1 i 2-gi.

D. 1 (*wchodząc głębią, z lewej — n. s.*) Już to taki łyczek zawsze humor poprawi. Ja n. p. żebym był nawet w nastroju samobójczym — powiadam sobie wtenczas: „Baronie Pozłociński!... kpij sobie z wszystkiego!... Przecież i Napoleon skończył na wyspie św. Heleny!... (*spostrzegłszy*

towarzysza — n. s.) A to co?!... Kolega?!... Ba! nawet rywal!... zajął mi hultaj miejsce. (*gł.*) Mój człowieku!... Siedliście sobie na mojem miejscu...

D. 2. Miejsce jest tego, co na niem siędzie, a że ja siadłem — więc moje.

D. 1 (*n. s.*) Jakiś mędrek. (*gł.*) Ja tu już przed wami siedziałem, tylkom się poszedł trochę rozgrzać. Zostawiłem tam nawet laskę.

D. 2. Laseczka nie zginęła, możecie se ją zabrać.

D. 1 (*n. s.*) „Możecie“?!... Sapristi!... (*mitygując się*). Prawda... Zapominam ciągle o moim obecnym charakterze... A no!... nie będę się przecież bił o miejsce z tym oberwańcem. (*biorąc kostur*) Siędę naprzeciwko. (*idzie do drugiego kamienia pod kulisą z lewej strony sceny*).

D. 2 (*kpiąco*). Tam też dobrze. Zresztą ładnemu wszędzie ładnie, gdzie ino sobie siądnie.

D. 1 (*n. s.*) Docina mi kanalia... Cham jakiś... Plebs... Hołota!... Nie dosyć, że mi miejsce zabrał — drwi jeszcze. Gdzieby to człowiek z lepszej sfery zdolny był do czegoś podobnego!... Ale ta ulica staje się coraz zuchwalszą. Żadnego dla nikogo respektu!... Wszędzie się cisną, wszędzie ich pełno, wypierają nas z stanowisk, zabierają nam chleb... Nawet dziadem nie może już dziś być człowiek lepiej urodzony, bo mu chamy robią w grubiański sposób konkurencyę. Ten drągal naprzykład!... Zamiast się wziąć do jakiej roboty, drzewo rąbać, wodę nosić, szorować, zamiatać, — siada mi tuż pod bokiem i będzie mi, ręczę za to, z przed samego nosa najbezczelniej zabierał przechodniów, tak samo jak mi przed chwilą zabrał miejsce... Kanalia!... Wyrzutek jakiś!... Truteń, godny domu poprawy, któremu się pracować nie chce... Stra-

szne zaczyna być w świecie przepełnienie... Wojny! wojny!... albo cholery porządnej, żeby przerzedziła — od dołu, ma się rozumieć — szeregi ludzkości...

D. 2. Nie klnijcie no pod nosem, nie klnijcie, dwa kroki od kościoła. Obraza boska!... Dziś ja se siadłem, jutro wy se siądniecie, i dobre! Ja nie taki!...

D. 1 (*n. s.*) Phi!... Zaczyna mnie protegować!...

D. 2. Miejscą na świecie dosyć, wszyscy się pomieścimy.

D. 1 (*gł.*) Dyabła tam dosyć. Zresztą — jak jakiego miejsca. Gdyby go było dosyć — nie byłoby się tutaj.

D. 2. Tu jeszcze nie jest najgorzej.

D. 1. Ha! ha!... „nie najgorzej"!... A gdzież już gorzej być może?!...

D. 2. Gdzie za miastem... przy drodze... na wietrze...

D. 1. Eh, wy co innego myślicie, mój poczciwcze... Zapewne, że i między dziadami są większe i mniejsze dziady... Ale przecież...

D. 2. Abo to człowiek zawsze był dziadem?... A może też był taki czas, że się pijało szampana jak wodę?...

D. 1 (*n. s.*) Ja miałem taki czas.

D. 2. A za jedno otwarcie drzwi albo zdjęcie palta, to mi hrabiowie rzucali i piątkę!...

D. 1 (*n. s.*) Takiego czasu nigdy nie miałem. (*gł.*) A czemże wy byliście?

D. 2. Sługiwałem u panów... Za lokaja, za kamerdynera... I u jakich panów!... U hrabstwa Szumnickich, u księżny Dmuchałowiczowej, u barona Pozłocińskiego?!...

D. 1 (*żywo*). U barona Pozłocińskiego?!...

D. 2. A tak! tak!.. To był całą gębą pan!

D. 1 (*n. s.*) A był, był...

D. 2. Ale już zeszedł podobno dawno na psy...

D. 1 (*n. s.*) Co zeszedł, to zeszedł.

D. 2. Wyście może znali barona Pozłocińskiego?

D. 1. Ze słychu.

D. 2. To był utracyusz!... Puszczała się jucha strasznie!... Trzy majątki przeżarł i przepił: po ojcu, po matce i po żonie.

D. 1. Po ojcu, po matce i po żonie.

D. 2. A jakże. A ożenił się z przechrzcianką i byłby jeszcze więcej jej pieniędzy puścił, ale żydy się spaliły, zbankrutowały i wszystko razem zeszło na dziady...

D. 1. Wszystko razem!... No proszę...

D. 2. Ii, dobrze mu się stało, bo hycel nie był na nic uważający!...

D. 1 (*n. s. z indagnacyą*). Hycel?!...

D. 2. Inne panowie, jak mnie tam który trochę trzasnął w gębę z prędkości, dawali mi za to zawsze 10 papierków — a on mnie nieraz tak sprał po facyacie z obu stron — o! on to lubił!...

D. 1 (*n. s.*) Lubiłem istotnie.

D. 2. ...aże mi spuchła, a nigdy za to więcej nie rzucił jak piątkę. Nie umiał uszanować cudzego honoru, to też marnie skończył.

D. 1 (*n. s.*) Nie wiedziałem, że na honor lokai jest także taksa.

D. 2. Nie żal mi go! Nie żal mi go!... Baba własna też go nie za wiele miała i —: on jednemi drzwiami z domu—a jej gachy drugiemi drzwiami do domu.

D. 1. Gachy do...! (*n. s.*) Ładnych rzeczy się dowiaduję... (*gł.*) Powinniście byli barona ostrzedz!...

D. 2. Za tę piątkę?!...

D. 1. Prawda.

D. 2. O! ja się tam u Pozłocińskich dużo rzeczy napatrzał, chociażem był u nich tylko kwartał, bo mnie serce ciągle bolało, żebym ja w takim wielkim domu za głupią piątkę miał brać po pysku... Tyle to i lada szewc w sądzie zapłaci, nie pan z panów.

D. 1 (*n. s.*) Więc to dlatego straciłem tak wiernego sługę!... Ciekaw jestem, który też to z tych hultai może być, bo to już temu z jakie dwadzieścia lat... (*gł.*) Jak wam na imię?

D. 2. Jakób, ale mnie tam przezywali: Żak.

D. 1 (*zdradzając się*). *Jacques!...* co ukradł broszkę i podpalił... (*milknie*).

D. 2. O la Boga!... A wy skąd wiecie?!...

D. 1 (*wstaje, kręci się, — n. s.*) Do dyabła!... zdradziłem się. Wynośmy się coprędzej... Tego by tylko jeszcze było potrzeba, żeby mnie ten hultaj poznał w moim obecnym charakterze!... (*ma się ku wyjściu*).

D. 2 (*zatrzymując go*). Skąd mnie znacie?!... Mówcie!... Bo ja niedowidzę a w okularach żebrać...

D. 1. Zaraz... zaraz... Słabo mi się zrobiło... Ja tu wnet przyjdę..

D. 2. Ale nie zawracajcie, ino mówcie, bo was nie puszczę... Możeście Jan z drugiego piętra?... Nie, Jan zezem patrzał... Możeście Łukasz? stróż z przeciwka?... Nie, Łukaszowi gęba nie zarastała... Możeście... o la Boga!... czy mi się przywiduje, czy co... ady to... o la Boga... ady to... wielmożny pan baron?!...

D. 1 (*n. s. z flegmą i smakiem*). Żeby cię najjaśniejsze pioruny zatrzasły!... Poznał mnie.

D. 2. To pan baron!!... co za szczęście!...

D. 1 (*n. s.*) Nie tak wielkie. (*gł.*) To ja, to rzeczywiście ja.

D. 2 (*rzuca się, aby go porwać w objęcia i ucałować—wstrzymuje go wyniośle wyciągnięta, do ucałowania, ręka barona—na którą D. 2. patrzy, potem bierze ją w swoją dłoń i serdecznie potrząsa*) Jakże się panu baronowi powodzi?...

D. 1. Jak widzisz. A tobie?

D. 2. Niby... niby tak samo...

D. 1. Nie mamy sobie tedy czego zazdrościć.

D. 2. Co nie, to nie... Ale, dalibóg, prędzej bym się był śmierci spodziewał, niż pana barona ujrzeć w takiej kundycyi.. Niechże pan baron siada... (*zaprasza go na swe miejsce*).

D. 1. Dziękuję ci, mój poczciwcze...

D. 2. I niech się pan baron nie gniwa za to, co ja przed chwilom mówiłem... bo... sługi zawsze na swoich panów wymyślają!... to już tak Pan Bóg dał!...

D. 1. Sam Pan Bóg?

D. 2. Sumiennie. A co do tej broszki... z brylantami...

D. 1. Ale dajże pokój... stare dzieje... Co nam już obu dzisiaj z tych brylantów przyjdzie...

D. 2. Bo jabym nie chciał, jeżeli mamy odtąd z panem baronem żyć w przyjaźni, żeby pan baron myślał, że to rzeczywiście ja... a tymczasem to wcale nie ja... tylko to proszę pana barona tak było, że... niech mi pan baron wierzy, że nie kłamię...

D. 1. Ale no wierzę, wierzę, nie wznawiajmy... Ja sobie zresztą zawsze myślałem: „Jakto?!... Ten poczciwy...“ jak ci to na imię?...

D. 2. Jakób.

D. 1. „Ten poczciwy Jakób?!... Nie! to niepodobna!...“

D. 2. Naprawdę sobie pan baron tak myślał?...

D. 1. Jak cię szanuję.

D. 2. (*n. s.*) Jaki durny był, taki został.

D. 1. (*n. s.*) Tem kłamstwem ujmę sobie draba. (*gł.*) No, a co do tych piątek... za... tego... (*giest policzkowania*) to nie miej mi za złe, uważasz, ale ja nie wiedziałem, zapewniam cię, wcale nie wiedziałem, że ty przyzwyczajony byłeś za to dostawać wyższe odszkodowanie... Trzeba mi było powiedzieć! Ja lubię za wszystko płacić, ile się należy. Ja myślałem, że honoraryum, oznaczone w kodeksie, jest zupełnie wystarczające... W ten sposób, to ja jestem twoim dłużnikiem!...

D. 2. Ależ nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... Co tam!... I gęba już zapomniała, że była spuchnięta i piątki się dawno przepiło. Niech to pana barona wcale nie gryzie. Ale co się też, bez urazy pana barona, z panem baronem działo, że pan baron tak strasznie...

D. 1. Na psy zeszedł?

D. 2. Niby nie obwijając w bawełnę: na psy!

D. 1. Igraszka losu, mój kochany!... igraszka losu!... Poszły pieniądze!... poszli przyjaciele!...

D. 2. Tyle ino, że se pan baron użył w swoim czasie.

D. 1. Nie mogę się skarżyć: żyło się po ludzku!

D. 2. Ii! żeby to ino po ludzku. Po pańsku całą gębą! Jak sobie przypomnę te nasze kolacye z szampanem, co pan baron urządzał dla panów i dla tych pań, jak pani baronowa do kąpiel wyjechała... Jak te panie na pana barona leciały?!...

D. 1. Prawda, że leciały?!... O! już to do kobiet!...

D. 2. Okropnie leciały!... Jedna z nich przecie, co była moja znajomka z dawniejszych czasów, jak jej się jeszcze tacy panowie nie trafiali, to mi przecie powiedziała po kolacyi, kiedym ją w przedpokoju pocałował: „Lubię cię Kubuś, boś do kobiet gorący, ale wolę twego starego, bo dwa razy gorąciejszy od ciebie“. Wolała pana barona niż mnie!...

D. 1. Patrzaj! to ona była na mnie bardzo łaskawa... ta...

D. 2. Kazia, do usług pana barona.

D. 1. Kazia?... Miłe wspomnienie. Bardzo miłe... Kazia!... Czekaj no!... Czy to nie ta, co taka była śmieszna, jak się upiła...

D. 2. Ta sama! ta sama!

D. 1. Cośmy ją upijali zawsze umyślnie, bo potem kazała nam chodzić na czworakach...

D. 2. I jeździła na panach po dywanie jak na koniu... Ta sama!... A pan baron zawsze wtedy wierzgał i ona zlatywała... Panowie się zakładali: zleci nie zleci? — a ona przecie za każdym razem, jak tylko pan baron wierzgnął — fajt!... zlatywała.

D. 1. (*śmiejąc się*). Jakem tylko wierzgnął?!... Ha! ha! ha!... to było rzeczywiście doskonałe!... Co się też mogło stać z tą Kazią?

D. 2. E! ona doskonale wyszła za mąż. Ożenił się z nią jeden doktór. Taką ma dobrą żonę!

D. 1. Doktorzy miewają szczęście.

D. 2. Taka się z niej zrobiła porządna osoba, że niktby nie poznał...

D. 1. To po niejednej porządnej osobie nie poznać... po niejednej...

D. 2. Tak samo, jak znowuż, na to mówiący— po nas...

D. 1. Idź do dyabła! nie przypomi... (*hamując się*). Masz racyę, zmiana losu fatalna...

D. 2. Oj fatalna, panie baronie, co się nazywa fatalna. Ale że też pan baron albo nie ożenił się drugi raz — tyle jest na świecie bogatych żydówek — albo nie znalazł sobie jakiego dobrego obowiązku, na jakiego ministra gdzie, albo rządcę?...

D. 1. Nie trafiało się widzisz miejsce ministra, nie trafiało... Może wiesz teraz o jakiem?...

D. 2. Chybabym się dopiero popytał.

D. 1. Popytaj się, jeśliś łaskaw: tylko jakie dobre miejsce!... Ministra — bez teki ile możności, bez obowiązków a z dobrą płacą. Nie zapomniałbym o tobie... A ilebym razy, uważasz, kiedyś jeszcze... tego... (*giest policzkowania*) to odtąd już zawsze: całą dziesiątkę... Aa!... całą!... Dziś wszystko drożeje — zresztą to ci się słusznie należy.

D. 2 (*dziękował ukłonami — nagle:*) Wie pan baron co?!

D. 1. Nie wiem.

D. 2. Ja miałem do niedawna pyszny zarobek, ale we dwóch.

D. 1. Cóż się z tamtym drugim stało?... Pokłóciliście się?... siedzi w kryminale?... umarł?...

D. 2. Stracił głos.

D. 1. Jakto: stracił głos?

D. 2. Ano w grdykę mu coś wlazło, ochrypł paskudnie i szlus.

D. 1. No i...?

D. 2. Ano nasz zarobek w łeb wziął.

D. 1. Cóż to był za zarobek?

D. 2. Śpiewalimy w tinglach.

D. 1. W tinglach?!... ty?!...

D. 2. Jak mnie tu pan baron widzi!... Ja je-

stem muzykalny!... Kto tyle lat sługiwał w domach z fortepianami i inną muzyką, ten się przecież z samego słuchania mógł niejednego kawałka nauczyć... Gram nawet nieźle do śpiewu i do tańca, ale tylko jednym palcem... A że tamten znów organistom miechy deptał...

D. 1. Miechy! Więc obaj muzykalni.

D. 2. Takeśmy się raz w szczęśliwą godzinę oba zmówili i śpiewalimy od tego czasu po tinglach, we dwuch, duety. A że to człowiek w życiu po pańskich domach dużo widział i doświadczył, więc było o czem i o kim śpiewać!...

D. 1. To się tam i mnie może nieraz w tych duetach dostało!... co?...

D. 2. Gdzie drzewo robią, panie baronie, tam trzaski lecą!... Śpiewywało się różności o hrabiach, to tam czasem i o barona człowiek zawadził. Ale nigdy po nazwisku!... Co to, to nie! Broń Boże!...

D. 1. Bardzo ci jestem obowiązany za ten dowód dyskrecyi.

D. 2. Nie ma za co. Przecież człowiek wie, co uchodzi, a co nie. — Więc teraz se myślę...

D. 1. Cóż?

D. 2. Ja muzykalny — pan baron też muzykalny... A możebyśmy tak... po starej znajomości... we dwójkę?...

D. 1. Śpiewali w tinglach?!...

D. 2. Ano tak... Zawszeć to lepiej... parę godzin... wieczorkiem... śpiewać we fraczku, w porządnem towarzystwie, wesołe kawałki, niż cały dzień boży w takim garniturze przewracać ślepie pod kościelnym murem, i żeby ci to jeszcze cholery za każde przewrócenie co dały?!...

D. 1. Nie dają cho... cholery?!...

D. 2. Ani im w głowie!... Więc cóż pan baron na to?

D. 1. Czekaj... niech rozważę... Ja, popełniając w życiu największe nawet głupstwa, zawsze je musiałem wprzódy rozważać... (*n. s.*) Hm... Ja się prezentuję we fraku jak książę, mógłbym jeszcze ubrać sobą niejednę estradę... Ten smyk także musi we fraku, naciągnąwszy się, wyglądać niezgorzej, inaczej nie byłbym go przecie u siebie trzymał przez cały kwartał... Może by tak spróbować?... Społeczeństwo, pozwalające ostatniemu z Pozłocińskich żebrać, nie ma prawa rzucać na Pozłocińskiego kamieniem, ujrzawszy go na estradzie tingl-tanglu. Chcą od nas zresztą, abyśmy pracowali. Praca — mówią — nie hańbi. Żyjemy w wieku pracy!... Więc zamiast wieść nieintratny żywot żebraka — dlaczego bym nie miał... Któż wie?... może jeszcze zdołam na estradzie zabłysnąć?!... Może uda mi się moją osobą uszlachetnić wesołą atmosferę café-chantant... Że to mój były lokaj, nikt nie potrzebuje przecież wiedzieć... A w końcu: dzisiaj!... w erze ogólnej demokratyzacyi!... baron... lokaj... jeden dyabeł...

D. 2. I cóż pan baron umyślił?...

D. 1. (*uroczyście:*) Zgoda!... Przyjmuję twoją propozycyę. A masz repertuar?...

D. 2. Mam w bucie (*uderza się po cholewie*) cały repertuar po moim poprzednim partnerze.

D. 1. Tym od miechów... A fraki!... dwa fraki?!...

D. 2. Dostaniemy na tandecie cudowne po półtora papierka.

D. 1. Za co? — dostaniemy?... (*giest, wyrażający pieniądze*).

D. 2. Mam oszczędzonych parę groszy.

D. 1. (*z pańska:*) Masz? — to doskonale. Kup-

że więc — mój Jakóbie — co potrzeba, porachujemy się potem. Pamiętaj też o engagement i o próbach.

D. 2. Przypomina sobie pan baron „duet dziadów?"

D 1. Noskowskiego?... Naturalnie! Nuciłem go sobie tyle razy kiedy mi się jeszcze ani śniło, że sam będę dziadem. Czy to może będzie jeden z naszych numerów?...

D. 2. Z tamtym partnerem robiliśmy zawsze tym duetem furorę... A gdyby go tak teraz na próbę kropnąć... Miasto puste....

D. 1. Kropnijmy sobie.

(*Zakończyć znanym duetem dziadów Z. Noskowskiego. Kurtyna*).

P A J A C E.

Żart kostyumowy w 1 akcie, przez Zyg. Niedźwieckiego.

OSOBY: *Bimbo.*
Estella.

W wędrownej budzie cyrkowej.

(*Scena otoczona drzewami, na których rozwieszone dokoła płachty szarego płótna tworzą rodzaj garderoby cyrku pod gołem niebem, zawalonej cyrkowemi gratami, jako to: drągi, obręcze, kule, bęben duży i mały, jaskrawe kostyumy, krzesła. Z lewej płachta dzieli się na dwie połowy, pomiędzy któremi wejście na arenę. Z lewej bliżej frontu stolik pełen gratów, przy którym Bimbo, w kostyumie klowna, maluje sobie na biało twarz. Na drugim planie ku prawej siedzi na wiązce siana Estella w barwistym kostyumie cyrkówki i karmi z flaszeczki niemowlę w powijakach. Dzień*).

SCENA I.

Bimbo — Estella.

ESTELLA (*do Bimba: proszącą żałosnym tonem*). Weźże już raz odemnie to maleństwo, niech ja się dokończę ubierać...

BIMBO. Zaraz, zaraz, moja złota Estelko, zaraz będę gotów. Jeszcze sobie tylko gębę umażę na biało i jestem na twoje usługi przez cały wieczór. Pilnuje tam mój stary wejścia, żeby się paupry nie wkradały?

E. (*zerknąwszy przez zasłonę z lewej*). Pilnuje. Twój stary by też kogo za darmo wpuścił?...

B. Moja ty! zna się na interesie. My nie z tych żyjemy, co darmoby włazili, tylko z tych co płacą!

E. Trochę bębnów to i za darmo nie zawadzi. Hałasuje to! śmieje się!... zaraz w budzie weselej.

B. Na klakę jest czas później, jak już porządna publiczność się zejdzie. Jest tam już ten oberżysta z rynku?

E. Nie, ale niańkę z dziećmi przysłał.

B. Tem lepiej! Siedm bębnów — siedm szóstek. Jego brzuch i tak dwa miejsca zajmuje a za jedno tylko płaci!

E. Bimbo!... Weźże już odemnie tego Jakoba!...

B. Zaraz, zaraz, moja kluseczko!... Jeszcze tylko kropkę na nosie!... Co pajac wart bez czerwonej kropki na końcu nosa?...

E. Jużeś sobie mógł dawno zrobić tę kropkę.

B. Mogłem — żebyśmy nie gadali.

E. To po co gadasz?

B. Bo cię kocham! Ładny by ze mnie był mąż, żebym do mojej żoneczki ust nie otworzył dla głupiej kropki na nosie.

E. (*korzystając z jego giestu kładzie mu znienacka dziecko na rękach — i śmiejąc się*). Masz Jakoba, tylko go nie upuść, a ja ci już potem sama tę kropkę zrobię.

B. O zdrajczyni!... Ale pamiętaj: ładną kro-

peczkę, Estelka: przystojną!... żeby kobietki na mnie zerkały!...

E. Zaraz!... Pajac nie na to jest, żeby na niego kobiety zerkały, tylko żeby się naród w cyrku śmiał. Ja ci tu dam kobietki!...

B. Nie zważaj na to! Ja i tak kocham tylko ciebie i naszego małego Jakoba.

E. No, no!... ty jesteś hultaj!... Mnie twój stary o tobie opowiadał!...

B. Nie wiedziałem, że mój stary taki...

E. On nie taki, ale ja go umiałam pociągnąć za język.

B. Wstydź się!... Nie uszanować przeszłości rodzonego męża!...

E. Przyda się to zawsze wiedzieć, jeżeli mąż był takim, jak ty lampartem i tak jak ty całe życie za dziewczętami gonił...

B. Przecież od roku!...

E. Ba!... od roku!... Odkądeśmy się pobrali, to się boisz!...

B. Cobym się tam miał bać!

E. (*przyskakując doń*). Nie boisz się?!..

B. (*zasłania się dzieckiem*). Ani mi się śni...

E. To połóż Jakoba.

B. Kiedy zacznie płakać.

E. Widzisz, że się boisz, żebyś nie oberwał.

B. Iii!... od żony oberwać to czasem tak smakuje, jakby ją człowiek pocałował.

E. Dobrze, że wiem!

B. No, no!... ja żartowałem!... Ale jakże będzie, Estelka, z tą kropką?...

E. Jeszcze przecie nie wychodzisz przed publiczność...

B. Bo potem zapomnisz...

E. (*odwróciwszy się nagle, robi mu szminką na*

nosie czerwoną plamę jednem pociągnięciem). Więc ją masz... i daj mi święty spokój.

B. Eee!... nie taką, jakbym nosem dziubnął w pomidorowy sos!... tylko porządną...

E. Nie trzeba się było zdradzać, że to dla kobiet!...

B. Tobie to nic nie można powiedzieć... Przed kimże się zwierzę, jak nie przed własną żoną?... Na drugi raz, to choćby mnie nawet która i pocałowała, choćby mi naznaczyła schadzkę — nic się nie dowiesz!...

E. No! no!... spróbuj tylko!...

B. Jak Kuba Bogu, tak Pan Bóg Kubie. Ale co ty się tak bez końca przed tem lustrem mizdrzysz i mizdrzysz?

E. Kobieta ma zawsze przed lustrem więcej do roboty niż mężczyzna.

B. To pewna, że dziesięciu mężczyzn z swoimi wdziękami ani przez połowę tyle nie cygani, co jedna baba, mająca za chwilę na drucie tańcować, choć jest i bez tego ładna.

E. Nie zawadzi być jeszcze ładniejszą. Wśród publiczności bywają przystojne chłopaki...

B. (*zrywając się—ciągle z dzieckiem na ręku*). Tylko mi o ładnych chłopakach nic nie gadaj, bo mnie zaraz taka wściekłość ogarnia, jak naszego kuca, kiedy nie dostanie w żłób jeść... Maluje się i maluje!...

E. Czekaj, zaraz będę gotowa. Odbiorę od ciebie nasze bobo i pocałuję cię nawet, żebyś nie był zły jak kuc.

B. Bobyś też mogła wiedzieć, co mężowi słuchać przyjemnie, a czem go można do szewskiej pasyi doprowadzić!... Mężczyzna, jeżeli żonę kocha, musi być o nią zazdrosny!...

E. A żona o męża nie?!... No oddaj mi, oddaj Jakoba i daj pyska głuptasie... tylko delikatnie, żebyś mnie nie posmolił... (*odbiera dziecko, całuje go*).

B. (*przed lustrem*). Patrzcie, jaką mi kropkę zrobiła!... jak ona o męża dba!... (*poprawia*). Schodzą się tam?...

E. (*przy otworze firanki*). Schodzą, schodzą.

B. (*j. w.*) Tośmy się gotowi podreperować. A zdałoby się. Tydzień lały deszcze.

E. A kupisz mi taką sukienkę, jakem ci mówiła?...

B. Ho! ho! ho!... Do sukienki jeszcze daleko!...

E. To takie twoje obietnice?!... To tak ci na tem zależy, żeby twoja żona jak ludzie była ubrana?!...

B. Moja Estelko!... Ty przecież wiesz dobrze, w jakiem ja cię ubraniu najbardziej kocham. Ale nie wiemy jeszcze, jak kasa wypadnie. Zaczekaj po przedstawieniu!

E. No?... pamiętaj!...

B. Cobym nie miał pamiętać!...

E. (*łasząc się:*) Mój Bimbo!

B. (*opędzając się:*) Ty kocie jeden...

E. Mój Bimbeczku!... (*głaszcze go*).

B. Dajże pokój, bo mnie łaskoczesz...

E. Jeżeli żona męża kocha... (*karesuje się z nim ciągle*).

B. Estelka!... bo nie wytrzymam!...

E. (*obejmując go za szyję:*) Wytrzymasz! wytrzymasz!...

B. Estelka!... bo!... (*rzuca szminkę, porywa ją za szyję i całuje namiętnie*).

E. (*chytrze:*) Ale mi kupisz sukienkę?...

B. (*całując ją:*) Kupię, kupię.

E. Przysięgnij!

B. Po co?

E. Bo ty tylko wtenczas nie łżesz, jak przysięgniesz.

B. No więc przysięgam!

E. Jesteś bardzo poczciwy mój Bimbo!... Patrz!... aż Jakobo się śmieje!...

B. On ma twój rozum, ten bęben!...

E. I będzie taki hultaj jak ty!

B. I taki naciągacz jak ty.

E. (*przy firance od areny:*) Ach! ach!... Buda jak nabita! Dziś będzie żniwo!... Ojciec aż się spocił!... Macha ręką, żeby zaczynać!...

B. To jazda!... Twój numer pierwszy.

E. W imię ojca i syna. (*oddaje mu dziecko*). Próbowałeś drut?...

B. Się wie! Dzwonić?... (*bierze dzwonek ze stołu*).

E. (*poprawiając na sobie strój:*) Dzwoń! (*porywa za obręcz do przeskak.*)

B. (*dzwoni*). — E. (*w kokieteryjnej pozie wybiega na arenę, gdzie daje się słyszeć równocześnie muzyka, lub katarynka i krótkie oklaski*).

SCENA 2.

BIMBO (*sam*).

B. (*z dzieckiem na ręku:*) Ale mam zgrabną babinę!... Taka coś warta dla cyrkowego człowieka... Jak wyjdzie — mało jej oczami nie zjedzą!... Ona by nawet mogła być w balecie!... Patrzaj mały: widzisz mamusię?... tam, wysoko!... jaka cacana?... Unosi się, jakby miała skrzydła!... A gapie gęby rozdziawiają: aaaa!!... No, nie bój się!... nie!... (*chodzi, kołysze*). Pś — pś — pś!...

Nie bały się małe chłopy, nie bały!... (*oklaski za sceną*). Słyszysz, jak walą brawo?!... To Signorinie Estelli!... najsławniejszej tancerce na drucie i ekwilibrystce, byłej artystce cyrku Renza, Barnuma, Sidolego! i wszystkich wogóle cyrków, jakie gdziekolwiek są, i jakich nigdy i nigdzie nie było!... (*pojąc dziecię flaszeczką*). Możeś głodny?!... Pij, mały!.. pij! nic nie pytaj! Tyle naszego, co wypijemy w tem życiu, najpierw mleka, potem sznapsa... Znowu brawo!... Babusia się podoba! nie ma co!... To nasz najlepszy numer! Nikt nie ziewa, jak wtenczas, kiedy mój stary udaje atletę z drewnianemi kulami. Mężczyźni to nawet trochę za śmiało na nią patrzą... Taki — że dał dziesiątaka! — to już myśli... Ale bo też i ona umie oczkami zawracać... Muszę jej powiedzieć, że to niekoniecznie przystoi mężatce, nawet na drucie... Oni ją przecie połykają oczami!... O! o!... ten blondyn... Albo i ten brunet!... Bogiem a prawdą nic w tem dziwnego: kobieta jak kluska z masłem, no ale... (*spojrzawszy przez firankę — z wybuchem:*) Eee!... oni są bezczelni!... Za dziesięć groszy!... Cóż to znowu!... Żeby chociaż udała, że tego nie widzi!... Poczekaj, wsypię ja ci taką burę, że popamiętasz!... Te spojrzenia!... uśmiechy!... Pś!... pś!... mały... cicho!... Dziękuję za brawa, takim kosztem zdobyte!... Kobiecie zamężnej nie wolno... Pś! pś! pś!... Kobieta zamężna powinna mężowi być wierną i na drucie!... Pś! pś!... (*chodzi wzburzony*). A co do sukienki — nic z tego!... Jeżeli żona kokietuje obcych ludzi w tej samej chwili, kiedy mąż własną piersią... te, własną ręką karmi swego jedynaka — nie ma sukienek! Skończyła. Ja jej tu zaraz powiem!...

SCENA 3.

Bimbo — Estella (wbiega).

B. (*do wbiegającej w podskokach, wśród oklasków:*) Ładnie!... bardzo ładnie!... (*za sceną brawa*).
E. (*zdziwiona jego tonem:*) Cóż takiego?!...
B. Wychodź!... Biją ci brawo!... (*dzwoni*).
E. Ale o cóż ci chodzi? powiedz!
B. (*dzwoniąc:*) Wychodź!... Publiczność klaszcze!... (*do dziecka:*) Pś! pś...
E. (*wybiega kłaniać się*).
B. (*patrząc na nią:*) Skończona kokietka! Teraz dopiero widzę!...
E. (*wracając na scenę*). Powiedzże mi... (*za sceną brawa*).
B. (*szorstko:*) Wychodź! Biją brawo!... (*dzwoni*).
E. Ależ...
B. (*dzwoniąc:*) Wychodź!... Pś! pś! pś!... Nie żartuj sobie z publiczności!...
E. (*wybiega*).
B. (*patrząc na nią:*) Mój Boże!... Jak ona się kłania?!... Proszę tylko zobaczyć!...
E. (*wraca z areny:*) Dowiem się nareszcie?!... (*za sceną brawa*).
B. (*dzwoni*). Wychodź potworze!... Jeszcze klaszczą!
E. (*siadając z dąsem:*) Nie wyjdę!... Dość już mam tego!...
B. Pśś! pśś! pśś! (*dzwoni*). Chcesz się z nimi podrażnić?!... Jesteś wyrafinowana kokietka!... Idź mi zaraz!... Bądź grzeczna dla publiczności! My żyjemy z publiczności!!...
E. (*wychodzi z dąsem*).

B. (*z komiczną goryczą:*) I z kokieteryi naszych żon!... Czyż wywoływanoby tak wściekle kobietę uczciwą?... nie zalotnicę?!...

E. (*wracając:*) Człowieku! mów, co ci się stało?!...

B. (*tragicznie:*) Otwarły mi się oczy!... Zrozumiałem, dlaczego mnie tak odpędzasz od lustra, nie dając mi sobie nawet zrobić porządnej kropki na nosie!... Czemu sama się malujesz godzinami!... Dlaczego się tak mizdrzysz do blondynów i brunetów!... Czemu na ciebie tak wytrzeszczają oczy!... Czemu cię wywołują po dziesięć razy!!...

E. Tylko trzy.

B. Jeszcze ci mało?!... Trzy razy — to jej mało!... — wszyscy słyszeli. A więc, czy nie mam racyi?!... To przecież jasne, że mam!... (*Muzyka za sceną zaczyna inny kawałek*).

E. (*do Bimba, chodzącego dużemi krokami:*) Proszę cię Bimbo! czego ty chcesz odemnie?

B. Czego chcę?... raczej: co postanowiłem!

E. Cóż postanowiłeś?

B. Nie będziesz więcej po drucie chodzić, moja pani!

E. (*naturalnie:*) Dlaczego?

B. (*z tygrysim skokiem Otella:*) A widzisz?!... Przeraziłaś się!!... (*do dziecka*). Pś! pś! pś!... (*E. stara się odebrać mu dziecko — on unika tego*).

E. Skądże. Tylko mnie dziwi...

B. To cię nie dziwi!... To cię do rozpaczy doprowadza!!... Stracisz sposobność zarzucania na głupców sieci! kokietowania! mizdrzenia się!...

E. W imię ojca i syna! (*gra ciągle z dzieckiem jak wyżej*).

B. (*z sykiem:*) Dlaczego do mnie nie uśmiechałaś się nigdy w ten sposób?!... Dlaczego?!...

E. Bo ty nie jesteś publicznością.

B. Ahaa!...

E. Do nich uśmiecham się sztucznie, do ciebie szczerze.

B. (*chodząc i kołysząc malca*). Wykręty! wykręty!... Nie będziesz więcej chodzić po drucie!

E. Jeżeli myślisz, że mi na tem zależy!... Owszem, mogę siedzieć w kasie.

B. Ani w kasie!... Noga twoja nie postanie w cyrku!...

E. To jeszcze lepiej. Będę się mogła cała oddać naszemu malcowi.

B. Naszemu!!... Boże Wielki!... Gdybym ja miał pewność!...

E. Co za pewność?...

B. Ale nie!... nie!!... To myśl tak straszna, że od jej wygłoszenia buda gotowa mi się zwalić na głowę!...

E. (*odbierając mu dziecko ostatecznie:*) Idź! idź! nie pleć głupstw... Czas ci już na arenę. Twój numer idzie!

B. (*opryskliwie:*) Teraz ojciec robi z kucem.

E. Ale zaraz skończy.

B. Chcesz się mnie pozbyć?

E. No patrzcie się!... Nie powinnam ci przypomnieć twego numeru?

B. Nie przypominałaś mi kiedyindziej!

E. Boś sam pamiętał, nie wyrabiałeś podczas przedstawienia Bóg wie jakich scen...

B. (*tragicznie:*) Bom jeszcze nie wiedział!... O pocóżem się dowiedział!...

E. (*za sceną oklaski*). Klaszczą ojcu! Twój numer zaraz...

B. Teraz ojciec robi z kucem...

E. Już skończył.

B. (*wściekły:*) Niech dalej robi z kucem!
E. Odprowadził już kuca pod drzewo.
B. Boże!... W takiej chwili!... Lecz niechaj się dopełni!... Wyjdę i ja śmiać się i wywracać koziołki w chwili kiedy mi serce pęka na dwie połowy!...
E. (*dzwoni*).
B. (*z pasyą:*) Nie dzwoń!... Chcesz mnie się pozbyć!
E. (*przestając dzwonić:*) Przecież zawsze dzwoniłam.
B. Dziś dopiero poznaję, jak skwapliwie... Dopiero dziś...
E. (*poczynając dzwonić bez przerwy:*) Eee, idźże już raz, może ci na arenie wylecą tę wszystkie głupstwa z głowy...
B. Idę — ale pamiętaj!
E. (*z uśmiechem popychając go ku firance*). Idź już, idź...
B. Pamiętaj! jeźlibyś...
E. (*j. w.*) Będę pamiętać.
B. Jeźlibyś z którym z nich oczkowała...
E. (*wypychając go za firankę*). A nuże stary dzieciuchu!...
B. (*wystawiając głowę z po za firanki—tragicznie:*) Ja to zobaczę!... (*za sceną huragan okrzyków i oklasków*).

SCENA 4.

ESTELLA (*sama*).

E. (*z dzieckiem na ręku*). Co jemu się dzisiaj stało?!... Ci mężczyźni miewają czasem dziwne

napady... Kiedyindziej dokazuje, że opędzić się trudno jego figlom, aż tu naraz... Upił się — czy co?... Ale on przed sztukami nigdy nie pije... Aaa!... Już wiem!... To dla tej sukienki!... Widzi, że buda pełna, będą pieniądze... myśli sobie: „żeby mnie nie nudziła po przedstawieniu o dotrzymanie obietnicy — urządzę jej scenę!..“ Myślał, że ja się na tem odrazu nie poznam!... Jaki on naiwny ten Bimbo!... Nic z tego, mój panie!... Ja muszę sukienkę mieć!... O!.. jak wywija kozły!... jak gdyby nigdy nic!... Najlepszy dowód, że udawał... (*patrząc na arenę*). A jaki on śmieszny?!... Raz po raz śmieją mu się na całe gardło!... Brawo, Bimbo!... Brawo!... — To jedno mnie tylko dziwi, dlaczego mi zapowiedział, że nie da mi się więcej w cyrku pokazać?... Czy to przypadkiem nie... (*nagle:*) Ach! niegodziwcze!... Zdradziłeś się!!... Ja mu zawadzam!... Moja obecność przeszkadza mu do kobiet szczerzyć zęby, umizgać się na prawo i lewo!... Przecież mi jego ojciec opowiadał!... Niegodziwy!... W rok po ślubie zdradzać kochającą żonę!... zdradzać jedynego syna!... zdradzać całą budę!... (*płacze*). O ja nieszczęśliwa!... Po co mi było iść za cyrkowego człowieka!.. To wszystko obieżyświaty, pędziwiatry... żaden z nich miejsca nigdzie nie zagrzeje, ani nie potrafi być wiernym kobiecie... Och! żebym mogła oczy powydrapywać tym, co się do niego umizgają!... Ale ja go nie dam!!... ja sobie nie pozwolę!!... Ja teraz będę inna!... Pilnować go będę na każdym kroku!... Jednego koziołka nie wywinie po za memi oczyma. Skończył numer. Biją mu brawo. Kobiety najbardziej!... Bezwstydne!... Bić brawo cudzemu mężowi!... Że one się Boga nie boją!...

SCENA 5.

ESTELLA — BIMBO.

B. (*wchodzi zmachany*). Uf!... z nóg lecę... (*pada na siano bezwładnie*).

E. (*złośliwie:*) Podobałeś się!... O! jak ci klaszczą twoje wielbicielki.

B. (*dźwigając się leniwie:*) Wolałbym, żeby mi dały pokój...

E. Ale idziesz im się ukłonić?!... (*za sceną trwałe brawa*).

B. Co nie mam iść?!... (*nagle robiąc się zwinnym i lekkim, wybiega na arenę w komicznych piruetach*).

E. Z jaką ochotą leci niegodziwiec przed te kokietki!...

B. (*tyłem—wśród oklasków i podrygów wraca*). Jakżem się zmachał!... Ale mi to dobrze zrobiło.

E. Nawet się nie kryje!...

B. Cóż to?... Dąsasz się na mnie?... Może o tę awanturę przed moim numerem?... Dajże pokój. Każdy ma swoje chwile...

E. Uhm?!... Chwile!!... O chwilach nie było mowy przed ołtarzem.

B. No bo to się rozumie samo przez się.

E. Co się rozumie?!... Zdradzać żonę?!... zalecać się obcym kobietom?!... Robić sobie kropkę na nosie dla innych?!...

B. Jakto?... co takiego?... czego ty chcesz?!...

E. Widziałam wszystko! Powinnam to była dawno już zobaczyć! Ale przejrzałam dopiero dziś!... Teraz już wiem, dlaczego nie chcesz, żebym robiłą na drucie, żebym nawet chodziła do cyrku...

B. Kobieto! W imię ojca i syna!...

E. Uhm!... Niewiniątko!... Wiem ja od twego ojca, coś ty za ptaszek... Ale ja nie pozwolę!... Na naszego Jakoba! nie pozwolę!!!... I jeżeli tak dalej ma być, to zwiń budę! będziemy sprzedawać pomarańcze, albo figi, albo co chcesz, ale nie będziesz żony, która cię kocha... żony, która ci... żony, która dla ciebie... (*w bek*).

B. Cicho, Estelka!... bój się Boga!... Ojciec pokazuje właśnie z kulami...

E. Niech sobie pokazuje, z czem chce... Ja tak nie chcę!... Ja tak nie będę!...

B. Ależ Estelka!... Ja cię przecież kocham nad życie!... Nikogo, tylko ciebie...

E. Nie prawda! Tamtym język pokazywałeś, aż się za boki brały!

B. Języka się nie pokazuje z miłości!

E. Ty tam wiesz dobrze, co im się podoba!... A czemuś teraz taki cichutki, a przedtem mi sceny wyprawiałeś?...

B. Bo mi się zdawało, kiedy byłaś na drucie, że ty się umizgasz do publiczności. Ale jakem potem sam fajtnął parę kozłów, tak mi się zaraz w głowie odwróciło — i widzę, że co na drucie to na drucie, a co w domu to w domu i że ty jesteś dobra żona... doskonała żona, taka milutka, taka cacana żona, że ja nie wart jestem,—a właściwie, że tylko ja jeden wart jestem takiej żony.

E. Więc ty mnie kochasz Bimbo?

B. Okropnie, kobieto, okrrrropnie!!... Zobaczysz po przedstawieniu.

E. (*śmiejąc się przez łzy:*) I kupisz mi tę sukienkę?...

B. Naturalnie, że ci kupię!... I nowe pończochy ci także kupię!... Mamy ze dwieście osób

w budzie!... będzie w kasie kilkanaście papierków!!...

E. Jak ja cię kocham! (*rzuca mu się na szyję, położywszy dziecko*).

B. Uważaj, bo mały zaraz zacznie protestować!

E. Taki zazdrośnik jak ojciec!

B. Albo też jak matka! (*całują się*).

(*Kurtyna*).

1865-
1904

50 Kop

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI:

JEDYNE DZIEŁO	wyczerp.
(U OGNISKA)	wyczerp.
PNEUMATYK NR. 301	wyczerp.
SPOSÓB NA DYABŁA	wyczerp.
DOBRO PUBLICZNE	wyczerp.
TOPIELEC	1898.
GRZECH	1900.
SAM NA SAM	1900.
LIŚĆ FIGOWY	1901.
LEKCYA ŻYCIA	1903.
EROTYKI	1904.
HUMORESKI SCENICZNE	1904.
PODKASANEJ MUZIE	pod prasą
(Sześć jednoaktówek w operetk. stylu)	
BAŚŃ (nowelle)	pod prasą
SZYDERSTWA (nowelle)	w przygotow.

Biblioteka miłośników sceny.

1. **Babunia**, komedya w 2 aktach przez M. Gawalewicza.
2. **Monologi**, przez F. Reinsteina.
3. **Teodolinda**, krotochwila w 1 ak. przez J. B. Szweitzera.
4. **Majster i czeladnik**, komedya w 2 aktach przez Józefa Korzeniowskiego.
5. **Folwark Primerose**, komedya w 1 akcie przez Cormon i Dutertre.
6. **Dzienniczek Justysi**, kom. w 1 akcie przez J. Kościelskiego.
7. **Wiecznie**, komedya w 1 akcie przez K. de Courcy.
8. **Prelegent**, fraszka w 1 akcie przez J. Kościelskiego.
9. **Pacyent Nr. 1-szy**, humoreska w 1 ak. przez J. Starkmana.
10. **Zaproszenie do walca**, komedya w 1 akcie przez Aleks. Dumas'a.
11. **Na balkonie**, fraszka sceniczna przez A. G. Cagna.
12. **Chateau Yquem**, krotochwila w 1 akcie przez W. Busnach'a.
13. **Model na bohaterkę**, kom. w 1 akcie przez H. Holpein'a przekład W. Bogusławskiego.
14. **Partya pikiety**, kom. w 1 ak. przez Bayard'a i Cornu'a.
15. **Marynarz**, dramat w 1 akcie przez A. Theuriet'a.
16. **Pierwsza chmura**, bluetka w 1 ak. przez A. Stockiego.
17. **Nieboszczyk swatem**, komedya w 1 akcie przez Alfa.
18. **Pożycz mi swej żony**, kom. w 2 ak. p. M. Desvalliéres.
19. **Najlepsza broń**, kom. w 1 akcie przez F. Strzeckiego.
20. **Na raucie**, komedya w 1 akcie przez F. Strzeckiego.
21. **W pułapce**, komedya w 1 akcie przez Alfa.
22. **Nic bez przyczyny**, kom. w 1 ak. przez P. Bayarda.
23. **Monologi** (dla pań) I, przekład z francuskiego.
24. **Monologi** (dla pań) II, przekład z francuskiego.
25. **Adam i Ewa**, komedyjka w 2 aktach.
26. **Z deszczu pod rynnę**, kom. w 1 ak. przez P. Moreau.
27. **Niema męża w domu**, komedya w 2 aktach przekład z francuskiego.
28. **Między Scyllą i Charybdą**, komedya w 1 akcie przez O. Feuilleta.
29. **Siostra Lorcia**, kom. w 1 akcie przez P. Heysego.

30 i 31. **„Jeden dzień“**, 3 odsł. przez Adama Krechowieckiego.

32. **Klucz od zatrzasku**, kom. w 1 akcie przez Grange'a i Bernard'a.
33. **Gapiątko z St. Flour**, kom. w 1 akcie z francuskiego.

34 i 35. **Humoreski sceniczne**, dla jednej i dwu osób grających, przez Zygm. Niedźwieckiego.

36. **Dzień św. Zofii**, obrazek dramatyczny w 1 akcie przez Jul. Guillment.

Każdy tomik po 25 kop. — Dalsze tomiki w druku.